Nr. 13. 28. Maja 1860.

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. $2^1/_2$ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. $4^1/_2$ zł., kwart. $2^1/_4$ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

KÓŁKO RODZINNE

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. $157^1/_4$.

JĘZYK I NAUKA.

I.

Zadziwiającą jest rzeczą, jak mało owoców wydaje u nas nauka. A przecież w szkołach publicznych uczymy się tyle lat i z taką mozołą! Mimo niektórych niedostateczności musimy przyznać, że w ogóle nauka ta stoi na wysokości dzisiejszej oświaty. Zkądże to jednak pochodzi, że w życiu naszem codziennem tak mało widać tej nauki, a prawie żadnych z nich owoców?

Troskliwi o wszechstronne wykształcenie dzieci swoich rodzice, opłacają prywatnych nauczycieli, kupują wyłącznie całą ich naukę, i zdaje im się, że swoim obowiązkom zadość uczynili. Majętniejsi, którzy wszystko z Paryża sprowadzają, jako to: kapelusze, pomady, rękawiczki i tem podobne akcesorya życia, idą dalej w naiwnej prostocie swego ducha i wraz z pomadą zapisują z zagranicy mentorów dla przyszłych obywateli kraju. Nie podzielamy zbyt powszechnego uprzedzenia, że ów zagraniczny towar jest wielką lichotą, jeśli w szerokiej swojej ojczyźnie nie znalazł odbytu i stosownego pomieszczenia, mimo to sumiennie wyznać możemy, że ich nauka żadnych dla kraju nie przyniosła owoców.

Zkądże to więc pochodzi, że ani szkoły publiczne, ani wychowanie prywatne nie przynoszą takich pożytków, jakich słusznie po nich dzisiaj żądać można? Wszedłszy w nasze koła towarzyskie, cóż tam usłyszymy? Oto rozmowy o najdrobniejszych szczególikach życia, przeskakujące z jednego przedmiotu na drugi, z jednej nowinki na inną. Przysłuchując się tym rozmowom, zdaje ci się, że ci ludzie niczego się nigdy nie uczyli, tylko wyrośli ot tak między sobą, na chlebie opatrzności boskiej, i o tem tylko wiedzą, co własnemi oczami obaczyli, i czego się rękami dotknęli. Że tam w Warszawie lub w Krakowie jakąś książkę wydrukowano, o której gazety piszą, to ich nie wiele obchodzi, a zadziwią się nie mało, jeżeli za granicą ktoś to pochwali, co wyszło we Lwowie. Obojętni na wszystko, co jest pracą ducha, ściągają na cały kraj opinią jakiegoś moralnego niedołęztwa, a nieprzyjaciołom naszym służą za materyał do oszczerstw miotanych na naród cały. A przecież są to ludzie, którzy ukończyli wyższe szkoły, którym okazano prace ducha ludzkiego z wysokości oświaty dzisiejszej! Są to ludzie dla których troskliwi rodzice dobierali mentorów z wszystkich kończyn świata! Czemuż tak upadli, że się zdobytej wiedzy i nauki wyrzekli, że wstępując w życie czynne wyrzucili ją jako balast niepotrzebny!

Przyczyna tego złego zbyt blisko nas leży.

Aby nauka weszła w krew i w żywot ducha, powinna tam wejść bezpośrednio. Nie może ona tam wchodzić przez alembik ani przez retortę, bo zamiast sił i pożywienia, przyniesie tylko odrazę.

Nauka działająca na umysł i serce, powinna tam wejść w owych dźwiękach rodzinnych, dla których zawsze stoi otworem dusza nasza. Wciśniona obcą mową, staje się tam składem kunsztownych rupieci, które przy pierwszej lepszej sposobności wyrzucamy jako rzeczy nieżywotne, bo wewnątrz nas nie przyjęły się, nie zrosły z naszem życiem.

— Proszę WPana, mówi troskliwy ojciec do nauczyciela, pragnę tego szczerze, aby mój syn więcej umiał odemnie. Świat dzisiaj wymaga nauki a nawet wymaga, aby obowiązkom dla kraju zadość uczynić. Z drugiej strony, w dzisiejszych naszych stosunkach koniecznym jest język francuzki. Otóż chcę, aby mój Adaś wszystkie nauki pobierał w języku francuzkim. Tym sposobem osiągniemy dwa cele. Adaś nabędzie wprawy w języku francuzkim, a nauka pójdzie swoją drogą.

I tak nauka staje się środkiem — a język celem. Potomek znakomitego imienia, na którem cięży dług historyi, staje się pojętną papugą, która umie wygłosić najdrobniejsze odcienia obcego języka — nauka była u niego tylko środkiem, odrzuca ją, gdy cel osiągnął.

Aby ucznia zaprawić do języka niemieckiego, uczono dawniej wszystkich przedmiotów, a nawet religii w tymże języku. I tak nawet nauka wiary stała się środkiem do exercycyów lingwistycznych — czyż mogła ona wpłynąć wprost na serce i umysł ucznia? Najszczytniejsza nauka podawana w obcej szacie musiała gwałtem wciskać się do głowy, budziła odrazę, a częstokroć niezrozumiana odbijała się od twardej czaszki studyoza jak groch od ściany, mimo wszelkich plag i zachęceń, mimo czarnej i złotej księgi. Cała więc sprawa sumienia u biednego chłopca ograniczała się długi czas na pacierzu, bo tego nauczyła go matka, a matka uczyła go dźwiękiem ojczystym.

Dzisiaj odstąpiono w części od tego systemu nauki, a spodziewamy się, że wkrótce znikną ostatnie jego szczątki. Jest prawdą psychologiczną, że człowiek



tylko w jednym języku myśleć może. W którym języku naukę pobiera, tym myśli. Mówiąc zaś innym, musi naprędce odbywać w głowie mozolną pracę tłumaczenia. A ta praca jest tak trudna i uciążliwa, że woli raczej wyrzec się rozmowy o rzeczach poważniejszych, niżeli łamać się z takiemi trudnościami wysłowienia się, które częstokroć przewyższają jego siłę i zdolności. Jeżeli zaś ojczysty język tak mocno czepi się biednej duszy, że go od niej oderwać nie można, to wszelka nauka w obcym pobierana języku, zalatuje tam przez jakieś tajemnicze szpary jak sieczka i póty jako tako się świeci, póki jej dla examinu potrzeba. Z atestatem w kieszeni rozpoczyna ukończony akademik nowy żywot, a widząc zredukowany walor nauki w życiu codziennem, pozbywa się jej jak najprędzej.

Do czegoż bowiem przyda mu się cała ta nauka w życiu towarzyskiem? Tam mówią ojczystym językiem, a on się uczył obcym. Wyższa nauka ma własny swój język, własne swoje zwroty i wyrażenia techniczne. On tego wszystkiego nie umie oddać w języku ojczystym i rezygnuje z rozmowy, albo prowadzi ją w języku obcym. Co gorsza, pomaga sobie czasem tem, że z jednego i drugiego języka wybiera pojedyncze zwroty i wyrażenia, i z daru Bożego robi jakiś bigos hultajski, którym obraża i Boga i ludzi uczciwych.

Tylko owe macierzyńskie dźwięki, któremi matka w pieszczotach swoich do nas przemawiała, a które zrosły z całem życiem naszem, tylko ojczysta mowa może wejść w głąb duszy i złożyć ziarna nauki, które ogrzane ciepłem życia, zapuszczą tam korzenie i złote wydadzą owoce. Wszystko inne stanie się pasożytnym polipem, który i krew wyssie i duszę wyziębi.

To też aby wiara święta w sercach wszystkich przyjąć się mogła, dał Bóg apostołom swoim dar mówienia wszystkiemi językami. On chciał, aby apostołowie objawione słowo Jego opowiadali narodom w własnych ich językach. Bo wszelkie prawdy tylko wtedy trafią do serca narodu i w niem się przyjmą, jeśli mu będą opowiadane jego mową.

Przy dzisiejszym składzie naszych środków wychowania, powinniśmy przedewszystkiem mieć wzgląd na język ojczysty. Praca i poświęcenie się naszych pisarzy nie jedną trudność już przełamały, a literatura ojczysta posiada dzieła, które w różnych gałęziach nauki mogą posłużyć za przewodnika. Tym sposobem można uzupełnić niedostateczności w naszem publicznem wychowaniu. W języku ojczystym przyswojona nauka nie będzie dla nas ciężarem — przeciwnie wprowadzona przez język w życie codzienne, podniesie nas i umocni w pochodzie do naszej przyszłości. Na drogę przyświecają nam wspomnienia dawnych świetnych czasów naszych, w których nazywała nas Europa: Pochodnią północy!

R.

ŻYDOWSCY.

KRONIKA RODZINNA

spisana przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

(Ciąg dalszy).

Od roku 1850....

Nie pamiętam już w której czytałem xiążce szeroko rozprowadzony dowód, że ziemia jest istotą żyjącą. Powiedziano tam, że ma obieg krwi, oddech i duszę, jak człowiek. Bardzo to piękna poezya, lecz nie oparta na prawdzie: bo ziemia nie jest istotą żyjącą. Ale ta ziemia, nie licząc w to ducha żyjącej ludzkości i pozostawianych na niej przez niego śladów, nie licząc nawet w niej działających tajemnych sił, któremi duch wiekuisty do nas przemawia, już przez samą roślinność swoją, tak obfitą i bujną i wiecznie żyjącą, wywiera na nas nie ziemskie, ale głębokie czysto-duchowe wrażenie. Wrażeniu temu ulegały wszystkie narody od początku do dziś dnia. Ludy pierwotne, niewykształcone, półdzikie, żyjące głównie wyobraźnią i sercem, ulegając temu wrażeniu, rozbudzały w sobie uczucia pobożne i wzniosłe. Dobroczynnym siłom tej ziemi, których nie umiały zrozumieć działania, nadawały w swej wyobraźni żywot indywidyalny: przedstawiały sobie wiosnę w postaci pięknej dziewicy a bogów leśnych w postaci starców, widywały w jeziorach wodne boginki, w sitowiach wiły i karły — a kiedy żniwa nadeszły, dziękczynne spiewano pieśni na cześć bogini ziemi, która w postaci dojrzałej niewiasty na złotym rydwanie przejeżdżała się między łany, rozsypując hojnemi rękami kłosy zbóż i owoce. Wszystko żyło koło nich — i miło im było pracować około tej ziemi, która żywemi oczyma tylu bogów i bogiń patrzała na wszystkie ich radości i smutki.

W czasach późniejszych, kiedy poznano jednego Boga na niebie, ustała cześć i miłość dla utworzonych błąkającą się wyobraźnią półbogów: lecz przeto nie ustała bynajmniej cześć i miłość dla ziemi. Owszem przeciwnie, wykształcone pod wpływem chrześciańskiej religii uczucia miłości, wdzięczności, skromności, wzniosły się jeszcze daleko wyżej: rozbudzono w sobie miłość ojczyzny, a lubo ją podniesiono do ideału, główną jej podstawą była przecież tylko miłość tej ziemi. Jakoż z miłością koło niej chodzono. Nie wyobrażajmy sobie średnich wieków w grubszej ciemnocie, niżeli nam je bezstronna przedstawia historya. Umysł ludzki ówczesny w ogóle w ciasnych kręcił się kołach; lecz przeto nie był wcale mniej dowcipnym i zmyślnym niż dzisiaj. Żądza posiadania bogactw i zysków, nie była mniejszą i nie zaniedbywano żadnego środka, aby ją zaspokoić. Rolnictwo stało na niższym stopniu niżeli w czasach dzisiejszych, lecz umiejętność

wyzyskiwania ziemi mogła-by śmiało pójść w porównanie z dzisiejszą. Ale pomimo to nikt w owe czasy tak nie wyzyskiwał tej ziemi, jak to się teraz wydarza. Żyło jeszcze natenczas w ludziach zdrowe i szlachetne uczucie, które im powiadało: — Ażaliż może ten kochać swoją ojczyznę, który nie kocha swojego własnego zagona? Ażaliż ludzkiem jest pastwić się nad tą ziemią, która cię na świat wydała, która cię karmi i poi, żywi i odziewa, dostarcza niezliczonych rozkoszy a nawet zbytków, i wreszcie w własne na powrót obejmie łono, ażeby się twoje kości i prochy nie rozleciały na cztery wiatry? Ażaliż zacnem jest za tyle dobrodziejstw tę matkę twoją wysysać, wypleniać, wyniszczać i potem rzucić nędzy na schronienie? — I chodzono naówczas około ziemi tak, iż miano obfite z niej wyżywienie; kto jej posiadał więcej, ten nawet zbierał bogactwa: ale nikt jej nie wyzyskiwał tak, jakby od jutra już miały na niej mieszkać same dzikie zwierzęta.

W drugiej połowie XVIII wieku, kiedy rozbudzony duch ludzki zapragnął wszystko pod swe panowanie zagarnąć i nad każdem zajęciem swoją rozciągnąć opiekę, zajęto się również umiejętnie uprawą ziemi. Zaczęto myśleć nad nią, badać, doświadczać, rozumować i te wszystkie nabytki w ład pewien układać: a tak powstała osobna nauka, która się zwie agronomią. Celem tej nauki, biorąc ją w rozleglejszem znaczeniu, jest: nauczyć człowieka, jakim sposobem przez umiejętną uprawę ziemi może z niej jaknajwiększe wyciągnąć korzyści. Jednakże nie jest to tej nauki celem jedynym. Tak rozumieją tylko ci, którzy do agronomicznych dzieł zaglądają tylko po specyalne wskazówki, którzy chcą się np. dowiedzieć, jakim sposobem można po jednym nawozie wyciągnąć sześć albo ośm zbiorów, sprodukować pszenicę tam gdzie dotąd się nie rodziła, albo uprawiać rośliny olejne tam, gdzie ich dotychczas jeszcze nie znano. Ale ktokolwiek przeszedłszy naukę agronomii w szczegółach, usiłował ją potem zrozumieć i objąć w całości, co według mnie jest obowiązkiem koniecznym każdego oświeceńszego rolnika; ten oprócz celów powyższych i innych tutaj nie wymienionych, widzi w niej jeszcze o wiele więcej. Nauka ta bowiem, acz się zatrudnia tylko samą materyą, nie jest próżną ducha bynajmniej. Ci, którzy ją utworzyli i wciąż nad jej dalszym rozwojem pracują, byli to ludzie znamienitych zdolności, wzniosłych umysłów i wielkiej zacności serca, co widać jawnie we wszystkich ich dziełach. Do uskutecznienia prac takich poważnych trzeba było tak dobrze wyższego natchnienia ducha, jak do wszystkich innych dzieł umysłowych, a najmniej mógł ich usposobić do tego nagi realizm lub zgoła czysto-materyalne widoki. Jakoż rozpatrując się bacznie w tych dziełach, które stanowią główne tej nauki posady, tylko niechcąc możemy nie widzieć: że tam nie chodzi tylko o sztukę wyzyskiwania jak największych korzyści z ziemi, ale właśnie o wyzyskiwanie jej umiejętne, to jest: uwzględniające bacznie zacność człowieka i przyszłość nastąpić mających pokoleń. Ztąd można śmiało powiedzieć, iż ta nauka agronomii, która sobie zasłużyła na poważne nazwisko nauki, nie powstała bynajmniej na to, ażeby ludziom obecnie żyjącym do zadowolenia ich wrodzonego drapiestwa umiejętnie dopomódz; lecz właśnie na to, ażeby toż ich drapiestwo, pochodzące często z nieznajomości swego zawodu, ile możności ukrócić. Nauka agronomii powstała na to, ażeby ślepą chciwość ludzką zamienić w wymagania roztropne i siebie świadome, — poziomy dotąd zawód rolnika przeistoczyć w powołanie pełne powagi i moralnego znaczenia — a ochroniwszy tym sposobem ziemię od drapieżących po niej zwierząt dwunożnych, zamienić w ogród bujny i wiecznie kwitnący a zaludniony zacnymi i światłymi pracownikami w winnicy pańskiej. Taki jest duch, taki cel, taka istotna dążność nauki agronomii: jakoż tak zrozumiana, nie jest ona czem innem, jak tylko n a u k ą m i ł o ś c i z i e m i.

Że tak jest, spodziewam się, iż nikt z ludzi głębiej myślących nie zechce zaprzeczyć. Nie może nawet zaprzeczyć, bo są już dziś na to materyalne dowody. Nauka rolnictwa tak zrozumiana weszła już w życie, w Anglii i we Francyi, w całych północnych Włoszech, w całych Niemczech zachodnich. Ktokolwiek tamtędy przejeżdżał i przypatrywał się tamtejszym krainom, ten nie mógł tego nie dostrzedz, z jaką tam pracowitością i z jaką przytem oględnością na przyszłość każdy rolnik uprawia swą ziemię. Pamięta on dobrze przy każdej pracy o korzyści dla siebie, ale nie zapomina nigdy, że ta ziemia mu była kolebką, jest jego mieszkaniem, a kiedyś będzie mu grobem. Przezornie obliczony pożytek umie on zawsze połączyć z miłością. Ufa on tej ziemi jak swemu przyjacielowi, którego już wypróbował, i powierza jej kosztowne zasiewy: a kiedy jej tyle zaufał, to ufa i więcej, bo wie, że czego mu ona nie odda dzisiaj, to odda jutro — a czego nie odda jemu samemu, to starannie zachowa i odda jego potomstwu. Żadnego on tam zagona, żadnego klinka nie zostawi bezużytecznie: na brzegowisku, gdzie już i żyto się nie urodzi, posadzi bulwę — a na moczarze którego osuszyć nie może, zasadzi wiotką łozinę. I łozina i bulwa przyda mu się przy gospodarstwie: toż za to w miejscu, gdzie już nic pożytecznego nie zrośnie, zasadzi jakiebądź drzewko, które chociaż na nic nie zdatne, przynajmniej jego ziemię ocieni, ożywi ją, upiększy i przyozdobi. Takim jest rolnik wykształcony w swoim zawodzie na nowożytnej nauce rolnictwa. Jest on zacnym i światłym człowiekiem, pożytecznym obywatelem kraju i wiernym synem swej ziemi: żyje z niej, bo koło niej pracuje, ale ją kocha, nigdy jej nie wyniszczy, zawsze podniesie, będzie się za nią bił walecznie i zginie za nią z zapałem.....

Dopiero w północno-wschodnich Niemczech, w ziemiach osiadłych przez barbarzyńców oświeconego świata, przez tak nazwanych Prusaków, spotykamy coraz-to mniej takich zacnych i umiejętnych rolników. Smutny zaprawdę przedstawiają widok ziemie w Multanach i Wołoszczyźnie: dziko tam rosną melony, kukurudza

wystrzela w górę jak modrzew, pszenica do trzydziestu ziarn rodzi — a tymczasem całe łany czarnoziemu leżą odłogiem, niwa zorana wygląda często jak stratowane bydłem pastwisko a lud nieoświecony w zmorszniałych chowa się chatach. Ale daleko jeszcze smutniejszym, obrzydliwym, oburzającym jest widok niektórych gospodarstw pruskich. Albowiem w Multanach rolnictwo znajduje się jeszcze w stanie natury, nie wiele korzysta z ziemi, lecz jej nie niszczy, a lubo rolnik nieumiejętnie zajmuje się ziemią, jednakże pielęgnuje jeszcze dawne rolnicze tradycye i mocą tychże tradycyi mocą swojego zdrowego serca, kocha tę ziemię jak matkę. Ale tu te tradycye dawno już poginęły, nauka rolnictwa z wyższego stanowiska pojęta jeszcze się nie przyjęła, a na jej miejsce poprzyjmowały się tylko sposoby wyzyskiwania z ziemi jak największych korzyści. Straszne też to stworzenie taki racyonalny gospodarz niemiecki. Osiada on jak upior na zakupionym przez siebie albo wziętym w dzierzawę kawałku ziemi i ssie z niego jak upiór jego krew ciepłą, a kiedy tej braknie, to krew jego zakrzepłą. Ażeby się ta krew rozmarzła, wapni ją i margluje bez końca..... on-by ją ogniem piekł, palił-by rozpalonem żelazem, zdjął-by z niej skórę powierzchnią, ażeby tylko krew z niej wydusić. *Heraus was darin ist!* jest jego hasłem: to też gdzie tylko jest w niej jaka siła żywotna, gdzie jakie drzewko jeszcze zostało na pniu, gdzie jaka trawka może urosnąć; wszystko to on wyssie, wypije, wysączy. Zostawiwszy nareszcie step dziki po sobie, chociaż zamurowany baniasto, — zostawiwszy trupa bez życia, bez krwi, bez szpiku w kościach, bez skóry na sobie, a ubranego we frak i kapelusz, — pomyka dalej na nowe po ziemiach polskich drapiestwo. Ci ludzie są to nowożytni Tatarzy, którzy z Zachodu zapuszczają na Polskę zagony. Gdziekolwiek przejdą i trawa po nich nie zrośnie! Gdzie sobie upodobają siedlisko, i stale osiędą, żadna siła ich nie wyruszy. Tak już osiedli znaczną część Wielkopolski: najserdeczniejszej ziemi Piastowskiej. Zapędzają się już w Małopolskę. Tutaj im powietrze nie służy.... lecz o tem poniżej.

Natomiast zaś muszę powiedzieć, iż krom wędrownych mamy my już i swoich, domorosłych, tego rodzaju Tatarów. Przychowując od lat kilkudziesięciu rozmaity cudzoziemski inwentarz, dochowaliśmy się na własnej ziemi najrozmaitszych dobytków. Ile tu ras jest odrębnych w tym inwentarzu, już tylko Pan Bóg policzy. Pomięszały się nawet te rasy do tego stopnia ze sobą, iż w niektórem stworzeniu głowa jest czysto zachodnia, grzbiet środkowo-europejski i tylko ogón się za niem wlecze krajowy. Jak to będzie kiedyś rozgatunkować, kiedy czas przyjdzie na gospodarstwo racyonalne i postępowe: także chyba tylko Bóg dopomoże!

Krzesław był takim domorosłym Tatarem. Jak wpadł do Grodowisk, w kąt przed nim pamięć Batego i Dżengiskana; że już nie wspomnę o innych światoburcach pomniejszych, jakim był np. Nowicki. Ej! cóż-tam Nowicki! Nowicki był już stary; świat idzie szybko naprzód: iść mu do szkoły dziś do Krzesława. Nieszczęśliwe były te Grodowiska! — Odebrawszy je w swoją opiekę, obalił piękną i szlachetną zasadę, której się wszyscy jego przodkowie trzymali i żydów do wsi przypuścił. Zadzierzawił im propinacyę, na każdej karczmie osadził żyda, na młynie żyda, żydów na tartakach, na blichach żyda. Zbiegło się to tałałajstwo jak szarańcza do niego, kłaniało mu się do kolan, służyło mu jak najwierniejsi kozacy i roznosiło jego sławę po świecie, mówiąc: — Ach to nasz pan! to wielki pan! to pan Żydowski! — Bardzo na to niechętnie patrzyli sąsiedzi, którzy ile możności starali się żydów pozbywać i dawali mu to do zrozumienia. Ale on śmiał się i mówił: — Piękne to są fantazye, ale kosztowne. Jak można gospodarować bez żydów? Żydzi to dwór, to ministerium, to policya, to wszelka służba, to wreszcie na teraz jedyny bank rolniczy dla szlachty, dopóki go nie pozwolą założyć.

Postępując tym trybem dalej, zniósł zaraz szkółkę dla ludu i zakład dla dziewcząt, a starego wikaryusza-nauczyciela zostawił za tyloletnie wysługi bez kawałka chleba na starość. Ażeby taki wikary nie zawadzał mu we wsi i nie demoralizował mu chłopów niepotrzebną nauką, zniósł także msze odprawiane przez niego po dwa razy na tydzień w pałacowym kościółku; msze były mu całkiem niepotrzebne. Sfrasowani tem chłopi, przyszli do niego z przedłożeniami i prośbami. Odprawił ich krótko i węzłowato, powiedziawszy im z ganku oracyę na znany text: ›Smaruj chłopa miodem›... i zamknąwszy ją w słowach następujących: — ›Mości panowie! Darowano wam pańszczyznę, zniesiono daniny, czynsze i wszelkie robocizny, uwolniono was od opieki dworu i zgoła zrobiono wszystko, ażeby was przerobić na ludzi: a wy.... niech nie dopowiem. Czegóż wy chcecie odemnie? Wy nie jesteście już moimi poddanymi, ani ja waszym panem. Ja obywatel, i wyście obywatele, tacy sami jak ja. Nic już teraz nie mamy do siebie. Czegóż wy chcecie odemnie? Cóżbyście wy powiedzieli na to, gdybym ja przyszedł do was i prosił was, abyście założyli szkołę dla moich dzieci i najmowali msze dla mnie w kościele? Ruszylibyście ramionami mówiąc: — Jakoś świta mu w głowie. — Otóż to samo i ja wam powiadam. Zaczem bywajcie zdrowi, bo nie mam czasu›. — Odeszli chłopi, rozmyślając nad tem i mówiąc: — Nie można mu nic na to powiedzieć: mówi tak samo jak cyrkularny komisarz.

Postępując tym trybem jeszcze dalej, poodpędzał pomału wszystkich gracyalistów, którzy byli tylko na łasce, i poodprawiał wszystkie stare sługi, które się spracowały na dworskich usługach i nie mogły już tak pracować, jak za młodych lat. Dla różnych różne wypłynęły stąd skutki. Ci, którzy się czuli jeszcze cokolwiek na siłach, porozchodzili się po wsi i poosiadawszy w komornem, poczęli żyć z dziennego zarobku. Drudzy co słabsi pozawieszali torby przez plecy i poszli po chlebie proszonym. A ci, którzy już nie ufali sobie, że stare ich nogi wyniosą ich jeszcze za kopce

graniczne, narażając się na najsurowszy gniew pana, zostali. Tak została siedmdziesięcio-letnia klucznica, zawiadując służbę babki kościelnej przy pałacowym kościółku a nocując na ławie w izbie czeladnej; tak został dziewięćdziesięcio-letni ekonom, który wyrzucony ze swojej komórki, palił teraz w piecach wyręczając parobków i dostawał od nich za to pozostały kęs strawy... Krzesław mu nie dał ani łyżki strawy. Bo u niego nikt jej nie dostał, kto na nią ciężko nie zapracował. U niego każde stworzenie żyjące było tylko machiną, która się tylko o tyle smaruje, ażeby się mogła obracać. Tak obchodził się z bydłem, tak nawet z ludźmi. Biada temu stworzeniu, które się w jego dostałe ręce. Jego woły były wywędzone jak schaby, konie jak psy: tylko psy miał jak konie, ażeby dobrze strzegły jego obejścia. Wszystko to żywił, ale tylko o tyle, ażeby miało do ciągnienia potrzebną siłę, więcej jednakże przytem licząc na tę iskierkę życia, która w niem tlała, niżeli na pożywienie. Tę iskierkę życia wypijał on zwolna, wysysał, wysączał, a wysączywszy oddech ostatni, wyrzucał. Bo życie tych stworzeń, które się jemu dostały, były wyłącznie dla niego; on był ich panem, bo za nie zapłacił: ale nie był ich panem, lecz katem.

Tak także postępował i z ziemią. Przedewszystkiem innem puścił gorzelnię na własną rękę. Gorzelnia dzisiaj, prowadzona w sposób godziwy, przy takim ogromnym podatku, właściwie żadnego nie przynosi zysku. Utrzymują ją w ruchu gospodarze na większych majątkach, ale tylko dlatego, że fabryka taka ułatwia sprzedaż produktów, spienięża drzewo i daje sposobność sprodukowania tanim kosztem wielkiej ilości nawozu. Wszakże osięgając te same skutki i za pomocą wydzierżawienia, najczęściej wypuszczają ją żydom. Takie wydzierżawianie gorzelni nie ma w sobie nic złego, bo przez to nie przechodzi z rąk właściciela w ręce żydowskie żaden zysk taki, który-by on sam mógł osięgnąć: jeżeli się przytem okaże zysk jaki, to bez wątpienia taki, który tylko żyd może wydobyć a który się szlachcicowi żadną miarą nie godzi. Ale Krzesławowi godziło się wszystko. To też on nie pędził gorzelni na siebie dlatego, żeby sprzedał produkty, bo nie miał ich tak wiele; ani dlatego, ażeby drzewo sprzedał, bo mógł je sprzedać każdego czasu; ani też dla nawozu, bo korzyści z nawozu były to za dalekie dla niego widoki: ale tylko dlatego, że gorzelnia podaje sposobność do ustawicznej szacherki. Mając gorzelnię, kupował on ciągle u szlachty okolicznej jęczmień, ziemniaki i żyto; kupował tylko u szlachty takiej, którą ostatnia przyciskała potrzeba; przepędzał te produkty natychmiast na gorzałkę, gorzałkę natychmiast sprzedawał; i znów kupował produkty, znowu je na gorzałkę przepędzał, i tak wciąż i bez końca. Tym sposobem maleńkim kapitalikiem w krótkim czasie kilka razy obrócił, czasem i kilkanaście, i zyskał pięćdziesiąt i ośmdziesiąt procentu: a że ten zysk był krwawą pracą, był łzami, był czasem nędzą a zawsze piekielną krzywdą jego sąsiadów — a co mu do tego? — »Gdyby ten zysk był nie wpłynął do jego kieszeni, to byłby wpłynął do kieszeni żydów. Ażaliż nie lepiej, że zostanie w kieszeni szlacheckiej?» — To było jego usprawiedliwienie się, to była jego zasada.

Zasadę taką daje się dziś słyszeć co dzień, co godzina, co chwila. Wszyscy ją dziś powtarzają, — jest ona sztandarem powiewającym nad temi krajami, jest jakby hasłem dnia dzisiejszego. Nie przeczę temu, iż leży w niej jedna z koniecznych potrzeb naszych, jedna z prawd zasadniczych tej ekonomii krajowej, której wprowadzenie w życie jest nam potrzebnem i bez wątpienia nie mało nam przyniesie korzyści. Lecz nim wyłożę, o ile zasada ta da się pogodzić ze zasadami, które są od niej daleko potrzebniejsze i wznioślejsze i świętsze: już tu muszę ostrzedz, iż jest to jedna z zasad najniebezpieczniejszych, jakie kiedykolwiek przypadły do smaku Polakom — a na jej dnie leży nie brud, nie kał, lecz trzęsawisko bezdenne. Jakoż nim ta zasada wejdzie w życie praktyczne, — teraz dopiero wchodzić zaczyna, — trzeba się nad nią zastanowić bardzo wszechstronnie, bardzo głęboko rozważyć, a nim ją przyjmie jakibądź człowiek albo stowarzyszenie, jak najściślejsze jej oznaczyć granice. Trzeba się nad nią zastanawiać tak bardzo dlatego, iż duch przemysłowo-handlowy owiewa dziś coraz bardziej umysły i staje się obecnej chwili coraz przeważniejszą dążnością. Trzeba się wreszcie zastanawiać nad nią dlatego, iż my Polacy, od najdawniejszych czasów do dnia dzisiejszego, ze wszystkich narodów najłatwiej popadamy w ostateczności. Dowodem na to choćby najpobieżniejsze tylko wejrzenie w historyę.

Kiedy w wieku XIV owionęła naszych praojców dążność wyzyskiwania korzyści z ziemi i zjawiły się zarazem przykłady najprostszą drogą wiodących do tego środków: to ani wiek jeden nie minął—a wolni aż dotąd chłopi zostali zamienieni w poddanych i wszystkie wsie zaludnione zostały pańszczyźnianem poddaństwem. Kiedy się między znamienitszem rycerstwem zjawiła chętka uzyskania przewagi polityczno-społecznej: to w oka mgnieniu jakby z pod ziemi wyrosło możnowładztwo i wzniosło się do takiej przewagi, jak nigdzie. Kiedy za przewodem wielkiego Zamojskiego została rzuconą zasada jednomyślności na sejmach: to w oka mgnieniu przeszła w życie i krew, i w postaci *Liberum veto* dotrwała prawie do końca. Kiedy niebawem potem na mocy swych przywilejów zaczęła w politycznem znaczeniu bujać szlachta: to już w pół wieku tak wybujała, że podobnego stanu nie znajdujemy w żadnej innej historyi. Kiedy tę szlachtę za czasów Saskich owionął duch biesiadnictwa i wygodnisiowstwa: to tak w tych biesiadach rozkisła, jak żadna inna na całym świecie. Kiedy za Stanisława Augusta została wniesioną moda ubiorów i obyczajów francuskich: to w kilka lat cała Polska pozrzucała kontusze i fraki przybrała. Rozdzieleni na odrębne prowincye, nie możemy się wziąć na oko w całości: lecz przypatrzywszy się n. p. tym ziemiom, o których

tu głównie mowa, widzimy jawnie, iż jeszcze i po rozbiorze towarzyszy nam tak samo gorączkowa pochopność do każdej upodobanej przez nas nowości jak dawniej. Kiedy po roku 1830 zaczęły się u nas zasiewać zasady demokratyczne: to wszyscy się do nich przyznali ryczałtem, chociaż zapewne zaledwie dziesiąty dokładnie rozumiał, o co właściwie chodzi. Kiedy w roku 1848 wniesiono zasadę dorazowego zniesienia pańszczyzny: do dni kilkunastu cały kraj się na nią podpisał, chociaż ani dwudziesty nie wiedział, jaka będzie właściwa tej zasady donośność. Kiedy nareszcie po roku 1848 zawionął nas duch reakcyi: zreagowało wszystko co żyło, nawet demokraci, nawet demagogowie, nawet rewolucyoniści. Do dnia dzisiejszego nastąpiła jak mniemam znowu niejaka równowaga w umysłach: ale za to wystąpił na scenę duch przemysłowo-handlowy....

Kiedy do rzeczy ważniejszych i wyższą mających wartość tak w obec Boga, jak w obec historyi, nie masz sposobności i pory: nic piękniejszego, jak wyswobodzić się z niewoli żydowskiej, opanować niektóre dzielnice przemysłu i handlu, podnieść rolnictwo, zagospodarować wioski, wbić się w zapasy, ażeby to było na kiedyś.... Bogu na chwałę, ludziom na pociechę. Ale dziwno mi się wydaje, gdy czytam i słyszę ludzi mówiących o rzeczach tak trzeźwych, jakiemi są przemysł i handel, z tak arcy-nietrzeźwym zapałem. A jeszcze daleko dziwniej, gdy widzę tej nowej epoki już gotowe jednostki, które uprzedziwszy wszelkie obywatelskie Towarzystwa agronomiczne i spółki handlowe, wzięły się na własną rękę do przemysłu i handlu. Zatrważający to widok! Tyle zapału, tyle energii, wytrwałości, zapobiegliwości, odwagi, pracy, — dla kawałka martwego kruszcu: to jest okropne. Myśląc o tem, pomimowoli nasuwają mi się wspomnienia dziejowe, które mnie uczą: jak zawsze łatwo i prędko naród nasz dał się nakłaniać do nowych dążności — i jak zawsze do takiego nawrotu lub zwrotu dość było przykładu kilkunastu lub kilkudziesięciu jednostek. I śni mi się wtedy ta niegdyś potężna i świetna Hollandya, która swojego czasu burmistrzowała po wszystkich morzach, posiadała kraje rodzące perły i złoto, patrzyła z piętra na Niemcy i Francyę a szła o lepszą z Hiszpanią i Anglią, — a która dziś.... chowa bydło i robi sery niesmaczne. I śni mi się wtedy Ameryka północna, ta wielka rzecz pospolita przemysłowo-handlowo-fabryczna, — która się wprawdzie pierwej dobiła wolności, niżeli wzrosła w bogactwa, — ale której duch mimo to wszystko, spowity najgrubszym materyalizmem, stopami brodzi w ohydnej niewoli murzynów a głową szaleje w bezmyślnych sektach mistycznych...

Ale porzućmy sny: a wróćmy do rzeczy realnych, wróćmy do Krzesława. Jako nieumiejętny, lecz tylko chciwy zysku i zręczny w tym zawodzie gospodarz, gospodarował wedle takiej samej zasady w ziemi. Nie ufał nikomu, więc i ziemi nie ufał. Gospodarował na dziś nie na jutro. Więc tylko co najpewniejsze kawałki ziemi pozasiewał jęczmieniem, zasadził ziemniaków jak mógł najwięcej, a resztę łanów uprawił owsem. Do tysiąca korcy owsa wysiał w pierwszym roku. Takie kolosalne zasiewy owsa można spotkać tylko na małopolskiem i czerwono-ruskiem Podgórzu, gdzie wbrew przekonaniu całego świata, nie żyto lecz owies jest ziarnem najlichszem. Ale ma to swoje powody. Uprawa owsa nadzwyczajnie mało kosztuje a jego zbior, przypadający najpóźniej, uskutecznia się najłatwiej i także najtaniej, bo za liście na ściółkę, za drzewo i inne tym podobne materyały, których się nie liczy wartości. A chociaż taki tryb gospodarstwa jest po prostu tatarskim, bo żadne ziarno tak po tatarsku nie wyplenia gruntu jak owies; to na to nikt nie uważa: *Après moi le deluge!* — Najmniej na to uważał Krzesław, bo on oprócz wrodzonego tatarstwa jeszcze i inne miał myśli, które jednak dotychczas chował jeszcze w tajemnicy. Temi myślami wiedziony, ile tylko mógł wapna napalić w Grodowiskach, pakował je w ziemie nizkie i wilgotne, a jeszcze jakokolwiek silne. Na wapnie uprawiał rzepak, który podówczas w wysokiej był cenie; ale po wapnie nie dawał nawozu, ażeby grunt po takim ogniu ochłodzić a po wysileniu odżywić, tylko uprawiał na nim wyki, grochy i owsy, ażeby z niego jeszcze tę resztkę siły, która za pomocą wapna została roztworzoną a niespożytą rzepakiem, jak najprędzej wydusić. Tak postępując wszędzie poorał wiele łąk, pooddawał pod owies pastwiska, i w ogóle, nie znając wcale wartości zadarnionej już ziemi, skarby tak drogocenne i tak trudno dostępne, pomarnował, poniszczył, powysysał, bez najmniejszego względu na przyszłość.

Przywięzując do wszystkiego, co było dla niego dostępnem, tylko tyle wartości, ile z tego mógł wyciągnąć korzyści, tak samo także cenił swoich sąsiadów. Sąsiad, który mu nic nie sprzedał i nic od niego nie kupił, był w jego oczach tem samem, czem była dla niego n. p. lipa stojąca na jego dziedzińcu, na którą żadnej nie zwracał uwagi. Ale za to taki, od którego zakupywał produkty, był zawsze przedmiotem jego szczególniejszych zabiegów. Takiego często odwiedzał, wtórował jego zasadom, grywał z nim w karty, i nieraz jak najnieznośniej się z nim nudził, aby tylko mógł wydrwić od niego kilkaset korcy ziemniaków lub żyta. W ogóle we wszystkich kupnach był niezmiernie przemyślnym — i nie było tego podstępu, którego-by się nie dopuścił, ażeby tylko taniej zakupić. Słowo honoru na ceny fałszywe, — zgoda zrobiona na cenę wyższą a wypłata na niższą, — zamówienie na cenę bardzo wysoką, osadzenie potem na lodzie i kupienie za bezcen, — podstawianie kupców innych, — wykupywanie długów, — zgoła wszystkie takie sztuki, na które-by się żaden żyd nie poważył, ale które tacy Żydowscy do dziś dnia już doskonale utarli, były jego zwyczajnym trybem handlowym. I dziwna rzecz! żyd, który-by się na taki przemysł odważył, zostałby wyrzuconym za wrota i psami wyszczutym; ale kochany sąsiad zostaje pomimo to wszystko

zawsze kochanym sąsiadem. Kochają go, odwiedzają i przyjmują u siebie, chwalą go nawet i żyją z nim jak z każdym innym: z takim wiechciem wytartym i brudnym, który dawnemi czasy progu nie śmiał przestąpić tam, gdzie zacna mieszkała rodzina, bo obrus przed nim rzezano, wystawiono go pod pręgierz opinii publicznej i szczwano jak wilka, dopóki się nie poprawił!

Nic ciekawszego wszakże, jak postępowanie Krzesława z żydami. Przed takim chrześcianinem, który pomimo wziętego chrztu wyznaje zasady wiary żydowskiej, żydzi mają zawsze respekt głęboki. Nie jest to frazes, lecz żywa prawda, najłatwiej się sprawdzić dająca. Xiąże X. hrabia X. i panowie X. Y. Z., chociaż ludzie zamożni i światli i zacni, niczem są u nich: ale wielkim człowiekiem, *a groiser man*, jest u nich każdy Imć pan Żydowski. Każdy taki Żydowski stoi zazwyczaj w ścisłych z nimi stosunkach, ma z nimi spółki, od nich ma wiadomości i nawzajem im ich udziela; jak żyd zna stan pieniężny każdego sąsiada i najczęściej posiada nawet język żydowski, zwykle nim rozmawiając z żydami. Takim był Krzesław. Nie przeszkadzało mu to wszakże bynajmniej, ażeby nie odzierał tych żydów tak samo, jak chrześcian. Całe setki rozmaitych sztuk jego opowiadano sobie w sąsiedztwie, które powyprawiał z żydami. A miał on bardzo obszerne pole do tego, bo nie było żadnego takiego przedsiębiorstwa ni handlu, którego-by on się nie chwycił, albo do którego-by się przynajmniej nie wmięszał. On handlował zbożem i drzewem, skórami i korą, krupami i mąką, bydłem i końmi; on szuter woził na szosę, budował drogi i mosty, liwerował siano, owies, słomę, mąkę, chleb, koce, worki i t. d. a wszystko to w spółce z żydami. Gdziekolwiek była jaka licytacya, na wydzierzawienie młyna, tartaku, propinacyi, myta, cła, albo jakiegokolwiek transportu, tam wszędzie był Krzesław; zawsze licytował, nigdy się nie utrzymał, ale też nigdy nie odszedł bez zysku. Na każdym jarmarku i targu on był najgłówniejszą figurą: wszystkie woły obmacał, wszystkim koniom zlustrował zęby, z wszystkimi kupcami się wyharkotał, i Bóg go tam wie, jak właściwie prowadził te sprawy: ale to pewna, że żadne większe kupno się nie zrobiło bez niego i że zazwyczaj targowy ruch w znacznej części zależał od niego. Doprowadził się wreszcie do tego, iż wszelkie małe żydowstwo całkiem od siebie odtrącił, a żył tylko z samymi wielkimi mężami izraelskiego narodu, którzy też zawsze, przyjeżdżając na targ albo jarmark, przedewszystkiem pytali: — *Ni? Zidowskies i du?* — *I du.* — *Git*, będzie dobry targ albo jarmark.

Wszakże, jak powiedziano, za taki respekt srodze im się nieraz wypłacał, drąc ich ze skóry. I tak musiało być, bo inaczej był-by nie mógł mieć u nich respektu. Jedną z ostatnich sztuczek, którą im pod koniec roku 1851 wypłatał, była następująca. Miał trzech żydów bogatszych w poblizkiem miasteczku, z którymi od początku swego zawodu ustawicznie handlował. Sprzedawał im produkty i od nich kupował, pożyczał od nich pieniądze, wypłacał się i znowu pożyczał, należał z nimi do różnych spółek i ich do siebie przyjmował: ztąd była pomiędzy nim i tymi żydami nieskończona liczba rachunków, które w rozmaitych momentach chwiały się to na tę stronę to na ową, ale których Krzesław nigdy ostatecznie nie kończył, zostawiając to zawsze do czasu. Po upływie dwóch lat zwołał ich wreszcie do siebie dla zrobienia finalnego rachunku. Zjechali żydzi — i zaczęło się posiedzenie. Ale nikt jeszcze nic podobnego nie widział, jak to posiedzenie. Gdyby pomiędzy pięćdziesiąt buldogów wpuścić jednego tygrysa, to jeszcze-by ani połowy tego straszliwego harkotu nie było, jaki podówczas napełniał główną salę pałacu. Cały dzień trwała ta wojna — a raczej ta straszliwa klęska żydowstwa. Od czasu siedmiu egipskich plag jeszcze takiej plagi nie wzięli; od czasu zburzenia Jerozolimy jeszcze nie byli w tak krwawej rospaczy. Kiedy się wreszcie ta bitwa skończyła; z ich pejsów tylko cieniutkie posostawały kosmyki, z ich bród tylko szczątki: wszystko to własnemi powydzierali sobie rękami. Stanęli nareszcie spokojnie przy stole, a pot gorący kapał z ich twarzy kroplami. Krzesław przyniósł pieniądze i wypłacił im resztę rachunku rzetelnie. Żydzi zgarnęli te szmaty prawie z pogardą, a jeden z nich rzekł:

— Nu! tośmy z Wielmożnym panem zrobili dobry interes.

— Interes mierny, — rzekł Krzesław z ironiją, — ale jeszcze się możecie pocieszyć. Jeszcze to dla was złote są czasy! Niech-no my pozawiązujemy spółki handlowe, dopiero weźmiecie cięgę nielada.

— Proszę Jaśnie pana, — rzekł na to żyd drugi, — na co tu spółek handlowych? Niech tylko dwóch takich szlachciców będzie w każdym becyrku, jak Jaśnie pan, a wszystkie żydy pójdą i bez spółek z torbami.

Pokończył Krzesław pod ową porę wszystkie swoje rachunki; bo chociaż niektóre z nich były takie, że on je musiał wypłacać, były za to inne, które jemu przyniosły pieniądze: a zresztą uporządkowane rachunki dają kredytowi podstawę, który mu był wtedy potrzebny. Albowiem właśnie natenczas doprowadził był Nowicki proces przeciwko Grodowiskom do końca i wystawił je na sprzedarz publiczną. Na pierwszym i na drugim terminie nikt nie stanął, jak zwykle, a na trzecim Grodowiska zostały sprzedane poniżej wartości. A kto je kupił?

Naturalnie, że Krzesław.

Kupił je za bezcen, za pięćdziesiąt tysięcy. Był to ze wszystkich dotychczasowych jego najlepszy interes. Tym bowiem sposobem odarł swojego rodzonego brata, i odarł go jak brata, do nagiej skóry. Na Grodowiskach było trzydzieści tysięcy długu, pozostało więc do podziału dwadzieścia: z tych wypadło dziesięć dla Dobiesława — a drugie dziesięć dla Krzesława; ale mocą jego spekulacyjnego rozumu za te

dziesięć tysięcy dostały mu się Grodowiska, majątek wartujący nawet pod owe czasy pewnie sto tysięcy.

Tak się prowadzi człowiek, który nareszcie, wedle mniemanych wymagań czasu, ze wszystkich złudzeń wytrzeźwiał — i stanąwszy swym wyjarzmionym od wszelkich przesądów rozumem po nad religią, historyą i opinią publiczną, przedsięwziął na własną rękę naprawić to, co lekkomyślnie popsuli jego ojcowie.

Jakże taki człowiek ma się do narodu? do społeczeństwa? jakie prowadzi życie po za obrębem swych interesów? — Krzesław prowadził życie takie, jakie przynosiły ze sobą jego zasady. Co się nie tyczyło jego spraw majątkowych, pieniężnych, handlowych, to go wcale nie obchodziło. O sprawach polskich, o politycznych zdarzeniach, o przeobrażeniach społecznych, o naukach, literaturze i sztukach pięknych, nic zgoła nie wiedział i ani o to nie pytał. Polityczne wypadki śledził, ale tylko o tyle, o ile wpływały na kurs pieniężny i obrot handlowy; o kraju także pamiętał, ale tylko o tyle, o ile jego ziemia mogła mu służyć za warsztat do robienia pieniędzy. Historyczne wspomnienia, narodowe tradycye, familijne pamiątki, nie miały dla niego żadnej wartości. Były to głupstwa u niego; romanse, niegodne rozumnego człowieka. Miał on je niegdyś pomimo swej woli w pamięci, bo go ich wyuczyła jego nieboszczka matka: lecz wychowany w szkołach, gdzie cudzoziemskim uczono językiem, otoczony od młodu przykładami takiemi, jakim był jego opiekun, wszystko pomału zapomniał. Pozostałą z nich resztkę, kiedy przyszedł do rozumu własnemi podeptał nogami. Dziś, jako godny członek galicyjskiego narodu, uważał całą przeszłość Polski jako chaos przedpotopowy, który chwała Bogu, że się przecie raz skończył; nie wiedział, zkąd się wzięła na mapie Galicya; nie wiedział nawet, kto była z domu jego rodzona babka! — Tak żył — i tak będzie umierał...

(*D. c. n.*)

Kotki i myszy.

Była koteczka i kotek,
Młoda para do pustotek,
Igraszek, skoków, jedyna.
Takie stworzeńka chować nie nowina,
Więc się chowały w pańskiej komnacie,
Miały śniadańko, obiad, kolacie,
Wszelką wygodę
I swobodę
Machać koziołki
Przez stoły, stołki:
Wieczór i z rana
Bawić panią i pana.
Czyż nad wszystkie zwierzęta
Nie najweselsze kocięta?...
I w kochaniu kot najtkliwszy,
Kiedy ślepki przymrużywszy
Koteczkę myje łapkami,
A ona myje kocura —
Gołąbki za nic z swemi pieszczotami,
U kotów tkliwsza natura.

———

Myszy siedząc pod podłogą
Z podziwienia wyjść nie mogą
Że je teraz nikt nie straszy.
— Kto ma straszyć? jedna rzeknie —
Znam państwa kotów; na kaszy
Bywam u nich; jak tam pięknie!
A jaki grzeczny jegomość!
A jejmość jeszcze grzeczniejsza!
Radzą zawiązać znajomość;
Bo potwarz najnikczemniejsza
Że to są wrogi odwieczne; —
Przecież wrogi nie są grzeczne:
Drapią, gryzą i dławią,
A te, karmią i bawią....
Trzeba żyć z nimi, ta nam się przyda
Bronić nas będą, gdy przyjdzie bieda
Na nasze schowki i nory.
Wszak to nie zwykłe koty — to Angory
Z długim włosem na nich skórka,
U łapek nigdzie pazurka.

———

Ta przemowa w gronie myszek
Dodała myszkom ochoty,
Że wyskoczyły z komyszek
Dzielić kocie pustoty
I, równo z niémi
To po stołach, to po ziemi
Wyprawiać obiady, bale,
Jak w karnawale.

———

Już ta zażyłość trwała czas długi —
Ale że Pani myszy nie lubiła,
Więc raz rzekła do sługi:
Czemuś koty okarmiła?
Tyle myszy w mej sypialni!
Zjadły mydło z gotowalni.

———

Na rozkzz Pani skończyło się święto;
Kotkom ujęto
Kaszy i mleka....
Kocia natura już mordem dyszy:
Ostrzą pazurki na swych towarzyszy,
I naraz w wirze żwawego walczyka
Padło sto myszy!

———

Dwa stare szczury
Widziały to z dziury,
I rzekły: dobra nauka!
Niechaj mysz kota nie szuka;
Czy się Angorą, czy Maćkiem zwie,
Zawsze ją zje. —

Ursynek.

Pamiątki Trębowelskie

przez

Augusta Bielowskiego.

(*Dokończenie.*)

W sobotę przed niedzielą 15tą po św. Trójcy. Lubo się zamek Kapłanbasie nie poddał, jednak żadnego dnia nie było wolnego od inkursyej i napadania czatowników tureckich, a osobliwie z Mikuliniec od Kuciukpaszy, który na pasach leżał w Mikulińcach.

W sobotę przed niedzielą 18tą po św. Trójcy. Tu się zamek nasz poddał; ale niech będzie pan Bóg pochwalon, żadnej krzywdyśmy nie mieli przez to; i owszem lepiej cośmy się ukłonili, boby nas byli dobyli, jako i Budzanów, Buczacz i insze miasta.

W sobotę przed niedzielą 19tą po ś. Trójcy. Tu niech będzie pan Bóg pochwalon, załoga turecka podziękowała z zamku; a my do kościoła farskiego na nabożeństwo i do plebaniej na mieszkanie sprowadzili się.

1673. W sobotę przed niedzielą *sexagesima*. Tu z plebaniej do pana Wygnańskiego pisarza prowentowego sprowadziliśmy się; jednak nabożeństwo u fary odprawowaliśmy.

W sobotę przed niedzielą 20tą po ś. Trójcy. Podziękowawszy panu Kasprowi Wygnańskiemu pisarzowi prowentowemu za mieszkanie, procesyonalnie wziąwszy obraz Najśw. Panny Maryej od fary nasz, tu daj Boże szczęśliwie sprowadziliśmy się do klasztornych lepianek, i wotywę o N. Pannie Maryej z nabożeństwem dziękczynnym śpiewaliśmy.

W tenczas wojsko nasze pod Chocim ciągnęło; niech będzie pan Bóg pochwalon, szczęśliwie z tryumfem powróciło potym.

1674. W sobotę przed niedzielą 4tą po ś. Trójcy. Tuśmy ustąpili przed nieprzyjacielem do Lwowa.

W sobotę przed niedzielą 5tą po ś. Trójcy. Tu ojciec przeor *) odjechał z konwentu dla trwogi."

Rubryka wydatków klasztornych w tym czasie zawiera różne szczegóły świadczące o przechodzie wojsk, w dochodach zaś czytamy między innemi: W sobotę przed niedzielą 11tą po ś. Trójcy. Za lichtarze stołowe, złociste w części, które dał konwent szlachcie podczas wojny tureckiej na pokłon carowi tureckiemu, wzięliśmy od nich złotych 244, za które powinien będzie konwent jak najprędzej takież sprawić, jako wynosi ta suma.

Pod tąż datą zapisano między przygodami: Tuśmy powrócili ze Lwowa; o dałby pan Bóg, aby był pokój.

Westchnienia te gorące do pokoju były jak widać daremne, bezpośrednio bowiem po nich czytamy:

1675. W sobotę przed niedzielą 5tą po ś. Trójcy. Tu Hamet basza po raz pierwszy wizytował nas.

Dalej bez dołożenia bliższej daty.

Tuśmy uprosili komendanta Usiatyna, aby lud swój do nas sprowadził, któremu pozwolili szlachta, duchowni tak plebani, zakonnicy, jako i popi, czerńcy, nakoniec żydzi na oficerów w tydzień po złotych 120; a dragonią chłopi karmią.

W sobotę przed niedzielą 15tą po ś. Trójcy. Tu Imbraim basza do nas dostawno [1]) przyszedł, ale za pomocą boską nie dostał, lubo z pięćset granatów w zamek wrzucił, i z dział we dnie i w nocy bez przestanku z ośmiu bił, oprócz ręcznej strzelby i strzał któremi lud szkodliwie razili, że kogo jeno postrzelili, nie mógł się wygoić żaden. Ten lubo nas nie dostał, ale temi granatami w niwec zamek zrujnował i spustoszył. Nas w obiad ten granat mało nie pozabijał, bo wpadł przez ściel na stół, na pieczenią, w półmisek. Atoli jednak lubo nas tak wszystkiemi siłami dostawał, i miny razy dwa podsadzał, nic nie wskórał, i owszem sromotnie odstąpić musiał, a ledwie nie uciekał, usłyszawszy o królu jegomości: bo w nocy kiedy nikt nie słyszał, od nas poszedł ku Kamieńcu, gdzie za dwa dni i nocy dwie stanął."

Z innych rubryk dowiadujemy się tu o niektórych poległych w tem oblężeniu, mianowicie: że zabity był pan Mysłowski i jakiś pan Chorąży, którego nazwiska nie wymieniono, nakoniec że król jegomość (Jan III) mężną obronę pochwalając, przysłał w darze od siebie oblężeńcom sto czerwonych złotych, z których zakonnikom dostało się z podziału 4 czerwone złote, czyli złotych polskich 48. Drugie tyle dostało się poczciwym zakonnikom w upominku od szlachty; a xiądz przeor jeździł dziękować królowi w imieniu oblężonych że im na odsiecz pospieszył, przyczem nie obeszło się bez nowego upominku od króla dla zakonników.

W sobotę przed niedzielą 23cią po św. Trójcy. Tu mój odjazd do ojca wielebnego Mag. Prowincyała (powiada pomieniony xiądz przeor).

W sobotę przed niedzielą trzecią adwentu. Tu mój powrót od W. O. Prowincyała.

1676. W sobotę przed niedzielą zielonych świąt. Tu była wojna. Wróciłem w imię pańskie do klasztoru.

1678. W sobotę przed niedzielą *Quinquagesima*. Nie mogąc sam mieszkający w Trębowli dosyć czynić wotywom dałem do ś. Marcina konwentu lwowskiego na wotywy 40 złotych.

W sobotę przed niedzielą *in Albis*. Przez siedm tygodni regestrów nie masz, a to dla ukradzenia szkatułki w której różne były rzeczy i regestra. Zeznaję czystym sumieniem, że nie było dochodów wielkich, także i wydatków, tylko od koniecznej potrzeby.

Roku pańskiego 1679 dnia 16 października wielebny ojciec Teofil Gostkowski, przeor trębowelski, z rozkazu przewielebnego Szablowskiego, prowincyała zakonu Najświętszej Panny Maryi z góry Karmelu, do Lwowa jadąc, w drodze pod grodem zwanym Gliniany od wyrostka swego Jana Majoranowskiego który był rodem z Ostroga, a kilka już lat i prawie od kolebki mu usługiwał, siedząc na bryczce trzema strzałami mu-

*) Przeorem był wtedy Karol Raczkowski.

[1]) Podobno myłka, zamiast „dostawać nas przyszedł."

szkietowemi z tyłu przeszyły, a kilka razy w głowę i przez ręce włócznią uderzony, zabity był okrutnie. Pochowany w konwencie lwowskim. Zabójca rozbiwszy skrzynkę i więcej niż tysiąc złotych polskich i konia nieboszczykowskiego wziąwszy, uciekł.

1684. W sobotę przed niedzielą zielonych świąt. Tu były największe niebezpieczeństwa od Tatar, którzy wpadli do kraju.

W sobotę przed niedzielą ś. Trójcy. Tu przyszło wojsko nasze pod Trębowlę, pod władzą będące wjmć pana Rzewuskiego, podskarbiego nadwornego koronnego.

W sobotę przed niedzielą 5tą po ś. Trójcy. Tu się ruszyło wojsko z pod Trębowli pod Janów.

W sobotę przed niedzielą 20tą po ś. Trójcy. Tu byli podpadli od sadów Tatarowie, którzy bydła zwaryckim chłopom od wozów zabrali, ze trzysta wołów. We młynie na Zieleńcu [1]) we dworku, wielkie szkody narobili; Podhajczyki [2]) wybrali, i na gościńcu siła nabrawszy ludzi z wielkim plonem odeszli.

Na tem kończy się pamiętnik trębowelski xięży karmelitów. Dochody i wydatki klasztorne z dalszych lat zajmują jeszcze grubą część xięgi; nie brakło w nich miejsca białego do wpisywania osobliwości, ale po roku 1684 nikt już więcej do nich ręki nie ściągnął. Może jakoweś nieznane nam okoliczności stanęły temu na zawadzie; zawsze należy wdzięczność tym zakonnikom, że choć część jakąś zdarzeń miejscowych starali się podać do potomności.

Zastanowi zapewne każdego ta okoliczność, że przy pamiętnem oblężeniu roku 1675 nie spomniano tu nic zgoła o Chrzanowskich. Bohatyrskie znalezienie się kobiety śród niebezpieczeństwa powszechnego, mogło się wydać przedmiotem mniej stosownem dla pióra zakonnika; ale sam dowódca twierdzy, któremu i król i naród cześć należną oddali, i którego staraniem spłynęły korzyści również na klasztor, pominięty został także milczeniem. Zapiski rocznikarskie w ogólności, zwykle bywały pobieżne, od chwilowego usposobienia tej lub owej osoby zależące, i prawie przypadkowe; a co do niniejszych, charakterystycznem jest w nich już to, iż owa waleczna obrona Trębowli pochwycona jest przez zapisywacza głównie z tej okoliczności, że granat wpadł w półmisek, na którym smaczna pieczeń się rumieniła.

Uzupełniając poniekąd te niedostatki podam tu jeszcze kilka szczegółów skądinnąd, o Samuelu.

Jan Samuel Chrzanowski był jednym z tych ludzi, którzy wyłącznie osobistym swoim przymiotom i zasłudze winni byli ów stopień jaki w społeczeństwie zajmowali. Służył on w wojsku od wczesnych lat. Roku 1673 znany był jako zdatny kapitan piechoty. Alexander Ludwik Niezabitowski kasztelan bełski, tarnogrodzki i lubelski starosta, i półkownik J. K. M. robi z nim w Glinianach dnia 29 października 1674 kapitulacyę w której między innemi powiedziano: Chorągiew jmćpana kapitana Jana Samuela Chrzanowskiego w kompucie powinna mieć ludzi in numero ober także under oficerów, żołdatów, muszkieterów i pikinierów, osób 80, na których rzeczpospolita daje na każdą osobę w kwartał złotych 36. Z której sumy jmćp. kapitan do usług rzeczypospolitej, w regimencie moim powinien mieć chorągiew swoją zawsze komplet, w moderunku dobrym, w barwie, w muszkietach, w pikach, w berdyszach, i lenungować zawsze powinien; porucznika i chorążego do upodobania swego obierać może, bez mojej wiadomości, underoficerów i soldatów kreować, suplementować i abdankować, itd. Służba p. kapitana zaczyna się ćwierć od 1 sierpnia 1673.

Szczególniejszy nacisk zdaje się być położony w tej kapitulacyi na słowa następujące: Submituje się też jegmć pan kapitan, jakoż i powinien, żeby żadnej skargi na niego i na jego chorągiew nie było; szarży swojej przestrzegając w powinnościach we wszelkich okazyach przeciw nieprzyjacielowi z chorągwią swoją, jako cnotliwemu kawalerowi żołnierzowi przynależy, stawać powinien".

W poźniejszych latach znachodzę ślady że ten warunek nie zawsze ściśle był przestrzegany.

W liście pisanym z Bruchnalu dnia 15 listopada tegoż roku przez pomienionego Niezabitowskiego kasztelana, a zaadresowanym: „Memu wielce miłościwemu panu i bratu jegmćp. Janowi Samuelowi Chrzanowskiemu, kapitanowi regimentu mego, komendantowi sidorowskiemu" znajdują się między wyrazami poufnej braterskości te słowa: „statek zalecam waszmość panu, to i majorem będziesz«; obiecuję się waszmość panu."

Dotrzymał, ile się zdaje, kasztelan swej obietnicy, bo w następnym roku Chrzanowski ma sobie powierzone dowództwo nad ludźmi rzeczypospolitej w zamku trębowelskim.

Tu miał sposobność okazania w całem świetle swej waleczności. Nadwątlił Ibraim pasza, ustawicznem biciem z dział, mury zamku trębowelskiego tak, że już niemal jakby stos gruzów wyglądały; mimo to wytrwał Chrzanowski w jego obronie, aż do przybycia królewskiego. Wiadomo jak tę zasługę jego odwdzięczył naród. Jakkolwiek dotąd dla swych przymiotów wojskowych ceniony był Chrzanowski w kole rycerskiem, a od kasztelana bełskiego i innych po bratersku był traktowany, szlachcicem jednakże polskim nie był. Sejm tedy w Krakowie w następnym 1676 roku odbyty, składa w osobnym 76 ustępie podziękowanie komendantowi trębowelskiemu w te słowa: Zawdzięczając odważnie wytrzymane oblężenie trębowelskie urodzonemu Janowi Samuelowi Chrzanowskiemu, komendantowi natenczas na Trębowli, obersztérlejtnantowi naszemu, za zgodą wszech stanów, onego i potomków jego klejnotem szlachectwa polskiego zdobimy, na co przywilej z kancelaryi naszej wydać każemy. Przy tym

[1]) Zielińce, przysiołek należący do Semenowa, koło Trębowli.

[2]) Podhajczyki, wieś, pięć ćwierci mili od Trębowli.

sumę 5000 złotych w skarbie koronnym naznaczamy, którą wielmożny podskarbi koronny z podatku szelężnego, na teraźniejszym sejmie uchwalonego, wypłacić ma w pierwszym półroczu.

Nadano mu herb Poraj.

W roku 1678 jest komendantem lwowskim. Następnie obok godności swoich wojskowych podpisuje się w roku 1683 podstolim mielnickim, a w roku 1684 podstolim smoleńskim. Nakoniec w roku 1688 jest komendantem twierdzy Mikuliniec.

W przeciągu tego czasu nie ciągle zajmował się rzemiosłem wojennem, ale kosztował i chleba ziemiańskiego. W roku bowiem 1683 na dniu 29 stycznia zawarł we Lwowie umowę z Janem Karolem na Dołżku Dołskim, podczaszym wielkiego księstwa litewskiego, starostą pińskim, półkownikiem wojsk J. K. M., mocą której pomieniony podczaszy wypuszcza mu dobra swoje, na Podolu, mianowicie miasteczko Chorostków i wsie do niego należące, w dzierżawę na 10 lat. W umowie tej podpisuje się Jan Samuel Chrzanowski jako podstoli mielnicki, a obok niego podpisuje ją także niejaki Stefan Chrzanowski, podczaszy rzeczycki, za daną sobie na to plenipotencyą. Ciekawym szczegółem w tej umowie jest, że obok podczaszego i podstolego występują w niej takoż ich małżonki z swojem potomstwem, mianowicie: Elżbieta na Ostrogu podczaszyna litewska, i Anna Dorota de Frezen Chrzanowska, podstolina mielnicka.

Ta to Anna Dorota jest prawdopodobnie ową bezimienną dotąd bohatyrką Trębowli, którą tak pięknie opiewał nasz Tymon Zaborowski.

ZDROJOWISKA KRAJOWE.

Jużto nieraz narzekali na to ludzie, że za górami szukali tego, co potem we własnym znaleźli domu. Tak samo miała się rzecz z naszemi wodami lekarskiemi.

Kilka wieków temu, jak wieszcz polski powiedział, że Polska na żyźnym zagonie, usiadła jak u Boga na łonie. Mimoto nie oceniono należycie wszystkich tych skarbów, któremi Bóg Polskę obdarzył. Była sól, był chleb, żelazo i zdrowie było, podziękowano więc Bogu za to wszystko, a innych skarbów nie szukano. Obcą była nam spekulacya i frymarczenie nieużytemi w kraju skarbami, a więc płynęły przez długie wieki bez czci i użytku, bo nikt ich nie znał i nie ocenił.

Mówimy tutaj o wodach naszych mineralnych. Nim te nowe nasze skarby poznano i oceniono, wkórzeniło się już było u nas zamiłowanie obczyzny, to tylko wydało nam się dobrem, skutecznem i przyzwoitem, co było za kopcami Polski lub ztamtąd przyszło. Rok rocznie tysiące rodzin polskich ciągną do wód zagranicznych i szukają tam zdrowia, lub rozrywki. Ludzie nauki rozglądnęli się po tej biednej, opuszczonej Polsce, czy w samej rzeczy chorych dzieci swoich nie ma czem ratować, i przekonali się, że jej wyrządzono wielką krzywdę. Zapoznano jej zdroje, które tyle wieków płynęły nieużyte, które mogły tysiące uzdrowić, a które zaledwie pomagały kilka obracać młynów!

Według gruntownego zbadania wszystkich zdrojowisk krajowych, okazało się, iż tylko uprzedzenie mogło nas do tego grzechu popchnąć, żeśmy obce wody przenosili nad swojskie. Nasze wody mają te same własności co większa część zagranicznych, a niektóre z nich nawet je przewyższają. Co do liczby zdrojowisk naszych, przechodzi ona wszelkie wyobrażenie. Cała podkarpacka kraina zasiana jest niemi, w samym okręgu rządowym krakowskim jest ich 26.

Otoż w celu, zwrócenia uwagi na te nasze skarby krajowe, i w celu użycia ich z pożytkiem dla kraju zawiązała się „spółka zdrojowisk krajowych“. Mamy przed sobą broszurę p. Dietla, która mówi o znaczeniu i przeznaczeniu tej spółki. Zanim nad organizacyą tej spółki nasze zdanie wypowiemy, chcemy przedewszystkiem według wyż wspomnionej broszury dać czytelnikom niejakie wyobrażenie o celach tejże spółki, które w głównych swoich zarysach są szlachetne i miłością kraju nacechowane.

Wiadomą jest rzeczą, mówi p. Dietl, iż od lat kilku objawił się ruch niezwyczajny w naszych kąpielach, podówczas niedosyć cenionych i odwiedzanych. Lubo lekarze krajowi zacząwszy od Oczka aż po dziś dzień nie zapoznawali wartości prawdziwej źródeł naszych: zaniedbanie jednak, w którym te pod względem urządzenia i wygód dla chorych od niepomnych czasów zostawały, i wzrastający poniekąd z tej przyczyny corazto bardziej ogólny i niepohamowany prąd chorych ku źródłom zagranicznym; główną były przyczyną niepowodzenia dotychczasowego naszych zdrojowisk. Właściciele źródeł domagali się gości, ażeby zakłady lepiej urządzić; goście zaś domagali się należytych wygód, ażeby módz do zakładów uczęszczać. Lekarze krajowi stojąc między młotem a kowadłem — nie mogli pomimo najlepszych chęci, ani jednym ani drugim zadosyć uczynić.

I tak zdrojowiska nasze odłogiem leżały; dar Boży nie użyty; niezliczone skarby w bagnach ginęły — a złoto i srebro nasze w zagranicznych wodach tonęło!

Ale musiało przyjść do tej ostateczności, ażeby skierować się ku lepszemu! Lekarze oceniając skuteczność wód naszych, nie zaprzestawali chorych do nich wysyłać, a znaleźli się chorzy, którzy pomimo złych dróg i niedostatecznych wygód poszli za radą lekarską. Właściciele przeto zdrojowisk zaczęli się krzątać i zakłady lepiej urządzać. Byli nareszcie i tacy, którzy upatrując w powodzeniu zdrojowisk naszych sprawę krajową wielkiéj wagi, a mianowicie finansową — nie mogli być obojętnymi względem ich uczęszczania i lepszego urządzenia.

Dalej ze stanowiska ekonomiczno-politycznego o znaczeniu Spółki mówi p. Dietl: Oszczędność i praca! stała się hasłem w naszym tylu klęskami znękanym kraju.

Jest to głos trwogi, który nas wszystkich przejmuje, głos przestrachu i boleści, którą wszyscy czujemy nad nieustającym upadkiem majętności obywatelskich — głos poważnego napomnienia od tych, którzy chylącą się ku niezmierzonej przepaści pomyślność kraju, szczerze uratować pragną!

*

Nie ulega bynajmniej wątpliwości, iż pracę i oszczędność uważać należy za podstawę zamożności krajowej, bo praca, to kapitał; a oszczędność, stósowne spożytkowanie kapitału pracą utworzonego. Jeżeli więc wszyscy mieszkańcy kraju, każdy z osobna pracuje i szczędza, kapitały powstają i oszczędnością się mnożą, a zatem zamożność narodową stanowią.

Jakkolwiek trudnoby było zapoznać tę główną zasadę zamożności narodowej, jakto pomyślny byt tylu pracowitych ludów dowodzi; wszakże niemożna zaprzeczyć, iż obok usilnej pracy i wyrachowanej oszczędności, niekiedy ubóstwo się szerzy. Przyznać zatem należy, iż oszczędność i praca, lubo głównym — jednak nie są jedynym warunkiem zamożności narodowej.

Są jeszcze i inne po części od ludów, po części od rządów zależne działacze, do podźwignienia dobrego bytu materyalnego potrzebne.

Pomijam tu te ułatwienia, które użyczać winna pracy ludzkiej opieka rządowa. Brak tych ułatwień, krępuje częstokroć najlepsze chęci pracujących i o upadek ich przyprawia. Górująca atoli cywilizacya tego stulecia, niepoprzestała na pracy *odosobnionej*, czyli pojedyńczych ludzi z osobna, ale umiała ją połączyć w liczną sumę prac, ku pewnym celom dążących, a tem samem utworzyć niezmierne kapitały i uskutecznić wielkie przedsiębiorstwa, którym praca i kapitały pojedyńczych ludzi sprostać nie byłyby w stanie. Są to *stowarzyszenia* naszego wieku, które wielkie przedstawiając siły i kapitały, wielkie zyski z nich ciągną. Zyski zaś te opłacać musi ten naród lub kraj, któremu na takich stowarzyszeniach nie staje, bo sam pozbawiony wielkich kapitałów, zniewolonym bywa u tamtych szukać i okupywać rozliczne przedmioty do przyjemności i wygód życia, do oświaty i wykształcenia, do zabezpieczenia majątku, do gospodarstwa, przemysłu, sztuk pięknych i t. p. potrzebne. Jawną zatem jest rzeczą, że cywilizacya za pomocą takich stowarzyszeń podbija pewniej i trwalej, aniżeli broń palna i oręż. Jej nasze hołdy składamy, jej nasze złoto sypiemy, ona podatki nakłada, które bez exekucyi płacimy, ona kapitały tworzy, z których jej procenta punktualnie zanosimy, ona kapitalistką i panią wszechwładną, która nas bez indemnizacyi oczynszowała. Ztąd też wynika; że cywilizacya wyższa niższą pochłania, a gdy tamta ludy zbogaca, ta je wycieńcza.

Łatwo pojąć, do czego taki stan rzeczy nareszcie doprowadzić musi; wzrastająca zamożność po jednej, a nieuchronne zubożenie po drugiej stronie!

Czyli obecny stan Europy nie dostarcza nam jawnych tego dowodów? Czyż większa zamożność nie tam, gdzie większa cywilizacya i połączenie wielkich kapitałów, za pomocą stowarzyszeń różnego rodzaju? Czyż srebro i złoto nasze nie skierowane ku zamożnemu i więcej ucywilizowanemu zachodowi, który je niepowrotnie pochłania? Czyliż roczne statystyczne wykazy nie dowodzą, że tylko w tych krajach przychód pieniędzy większy od wychodu, w których prócz pracy osobistej, wielkie kapitały w stowarzyszeniach się łączą? gdy przeciwnie, kra e takich stowarzyszeń pozbawione, rocznie więcej kruszczu szlachetnego wywożą, aniżeli przywożą; a zatém zwolna, ale nieustannie ubożeą.

W jakim rzędzie nasz kraj pod względem bilansu międzynarodowego stoi, łacno liczebnie wykazać-by się dało; ale nie tu miejsce ściśle w to wchodzić. Pewna, że nieustannie tracimy, bo wywóz zawsze większy od przywozu gotówki. Nie łudźmy się. Zmienione stosunki społeczne; zwiększone potrzeby życia, wygód i zbytków; wielkie podatki; niepomyślne nasze położenie geograficzne; brak dostatecznych dróg komunikacyjnych i innych ułatwień dla przemysłu i handlu; niższy stopień wreszcie osobistej pracowitości i oszczędności; są ważnemi, ale nie jedynemi przyczynami naszej niepomyślności. Jesteśmy opodatkowani i oczynszowani mocą cywilizacyi wyższej od naszej, która łącząc siły pracy w wielkie przedsiębiorstwa, i gromadząc niezmierne kapitały, procenta za nie od nas pobiera.... Przypuściwszy, że tylko 20.000 osób z krajów polskich rocznie do zdrojowisk zagranicznych wyjeżdża, i że koszta podróży, pobytu w kąpielach i t. p. tylko 500 złr. od osoby wynoszą, to rocznie 10 milionów złr. za granicę wychodzi.

Kończąc rzecz o spółce zdrojowisk krajowych odzywa się p. Dietl do kraju: Pracowaliśmy dotąd usilnie i rzetelnie rozdrobnionemi siłami, aby wybrnąć z upadku niedoli — pójdźmy inną jeszcze drogą, drogą którą nam inne narody i górująca ich cywilizacya wskazuje — *drogą połączenia sił naszych i stowarzyszenia ku wspólnym celom krajowym!* Powstańmy społem, oprzyjmy się parciu, które obce stowarzyszenia i kapitały na nas wywierają, wyswobodźmy się z zależności, w którą zagraniczna nas pęta spekulacya i odmówmy jej haraczu hojnie przez nas opłacanego! W Bogu nadzieja! że piękny i błogosławiony nasz kraj nietylko wyżywić, ale i zbogacić nas potrafi, jeżeli wiernymi jego będziemy synami.... Miłość kraju od miłości ziemi zaczyna — która nas rodzi, żywi i chroni — a gdy z tej ziemi z łaski Opatrzności źródła zbawienne tryszczą, trzeba je równie miłować i spożytkować.... Czyż nie lepiej nam będzie, w miłem kółku rodaków; gdzie nas znają, kochają i poważają; w ojczystym języku pogawędzić, zabawić się i rozweselić; pocieszać się wzajemnie; wspierać i sobie radzić: aniżeli za granicą wystawiać się na pastwę obcej spekulacyi a częstokroć i na pośmiewisko; bo zaiste przepełnienie zdrojowisk zagranicznych naszymi ziomkami, stało się już i obcym niepojętem — i prawie śmiesznem.

Odkładając na inny raz nasze zdanie co do organizacyi Spółki, powtarzamy wraz z panem Dietlem na zakończenie:

Idźcie za szmerem zdrojów ojczystych,
Zdrowia szukajcie w jej nurtach srebrzystych,
Rozumnie użyj, czem Pan Bóg darzy,
Nie szukaj obcych Bogów ołtarzy.

X.

PISMA CZASOWE POLSKIE.

Otrzymaliśmy właśnie podwójny zeszyt (t. j. II i III) Przeglądu Poznańskiego obfity w treść i pod wielu względami zajmujący.

Pismo to jako katolickie a nawet przeważnie teologiczne, poświęca z małym wyjątkiem prawie wszystkie karty swoje sprawom kościoła katolickiego, łączy te sprawy wszę-

dzie i zawsze prawie ze sprawami politycznemi (i z tego powodu popada w wielką różnicę zdań z innemi polskiemi pismami) i z literaturą, a ztąd pochodzi że niewiemy czy który z polskich pisarzy, jeżeli go Przegląd Poznański uznał godnym sądu swego, nie ściągnął na siebie cenzury od niego jakoby nie był dosyć katolickim. Coż, kiedy nawet Zygmunta Krasińskiego spotkał ten zarzut, o czem niżej nadmienimy.

Na czele znajdujemy rozbiór broszury francuzkiej, raczej odpowiedź na nią, pod napisem: „La Russie est elle schizmatique? Aux hommes de bonne foi par un Russe orthodoxe“. Zapewne, zagadnienie samo jest dla katolika paradoxem, ale mniej byłoby śmiesznem gdyby autor twierdził, że rosyjski kościoł jest prawowiernym, a rzymski szyzmatyckim, niż to że stara się wmówić w katolików, jakoby rosyjski kościoł był „co do prawa i co do czynu“ w jedności zupełnej z kościołem rzymskim. Skoro uznawanie papieża jest znamieniem katolicyzmu, tedy nie wiemy dla czego Przegląd Poznański tak się wysila na zbicie owego paradoxu, że aż szeregiem artykułów w tej sprawie zagraża. Najważniejsze w tej rozprawie jest rozróżnienie między Rusią Kijowską, która jest katolicką w duszy, a Rusią moskiewską, dla której szyzma jest narzędziem polityki.

Dalszy ciąg „Wspomnień o bateryi pozycyjnej artyleryi konnej gwardyi królewsko-polskiej xięcia Stanisława Jabłonowskiego, byłego tejże artyleryi kapitana“, zawiera koleje bateryi od chwili gdy Bem objął dowództwo nad nią w randze majora. „Komisya rządowa wojny mianowała go tymczasowym dowódzcą. Wystąpiła więc przed niego baterya, lecz bardzo zimno przez oficerów i szeregi przyjętym został. Większa część oficerów nie znała go, a zresztą przyzwyczajeni byliśmy, (pisze autor) że wszyscy oficerowie z szeregu naszego awansowali, i przykro nam było że Bem obcy i prócz mnie nikomu nieznany, z boku przyszedł nami dowodzić. Lecz w wojsku chociaż coś przykro i nie po myśli, trzeba słuchać, to pierwsza cnota żołnierska“.

Ze szczegółowego opisu wszelkich kroków tej bateryi, wielce dla wojskowych ciekawego, widzimy że cudów dokazywała, cudem też nieraz ocalała. Wyjmujemy kilka rysów charakterystycznych. Major Bem nie był uparty. Pod Iganiami baterya znajdowała się w tak niebezpiecznej a oraz niedogodnej do strzelania pozycyi, że oficerowie postanowili prosić majora by kazał przeprowadzić działa na miejsce, które im się zdawało sposobniejszem. Major Bem odpowiedział: „Panowie oficerowie znajdują pozycyę naszą niekorzystną — to dobrze — zmienię ją kiedy taka ich rada“. Zmienił jak radzili. Skutek okazał, że poprzednia była lepsza. Jenerał Konarski dowódzca artyleryi widząc to okropne położenie nadjeżdża i mówi do Bema:

— Majorze trzeba ci zmienić pozycyę, bo w tej co do jednego człowieka bateryą utracisz.

– Pan jenerał każe mi pozycyę odmieniać? słucham rozkazów. Jenerał Konarski odjeżdża, a major Bem komenderuje: „W nacieraniu zaprzodkuj! stępo, kłusem, galopem marsz, marsz!“ i przypadamy po przed front artyleryi moskiewskiej na kartaczowy dystans. Moskale do nas kartaczami, a my do nich tąż samą amunicyą odpowiadamy, i ledwie po dwa razy z dział daliśmy ognia, nieprzyjaciel za działa i w nogi, i jużeśmy ich więcej tego wieczora dzięki Bogu nie widzieli.“

Jeszcze raz w tej bitwie dał Bem przykład gienialnej śmiałości. Pod ogniem karabinowym 6000 piechoty i 36 dział pozycyjnych odbył się w przeciągu 10 minut „tak niebezpieczny ruch, tak skomplikowany manewr dla artyleryi konnej jak zmiana frontu“. Trzeba było na to i artyleryi wzorowej, by taką komendę wykonać „w porządku jakby na paradzie jakiej.... Ale też gdy się wszystkie 10 dział uszykowały i gdyśmy silny ogień kartaczowy do tej zaciętej kolumny piechoty moskiewskiej rozpoczęli, to nie było bitwy, lecz rzeź formalna! Padali Rosyanie na ziemię jak jabłka z jabłoni“.

Za to Bem został podpułkownikiem, autor zaś kapitanem drugiej klasy. Opisuje dalej jak dwóm sztabowym oficerom polskim poddał się cały pułk 98my rosyjski. Zdarzenie to znaliśmy z ustnego opowiadania, z innego zupełnie źródła, nie podlega więc żadnej wątpliwości.

Pod Złotoryją był świadkiem osobistej odwagi Bema. Kanoniery byli głodni, a w jednym z domów najbardziej na pociski nieprzyjacioł wystawionym znajdowała się spiżarnia obficie w żywność zaopatrzona. „Chodziło tylko jak się dostać do składu, gdzie co chwila granaty padały i pękały, a ściany tak były kulami nabite, że prawie miejsca nagiego nie znalazł. Mimo głodu żaden kanonier nie dał się namówić, by pójść po jadło, co widząc podpułkownik Bem sam idzie i wśród kul i granatów, ser, chleb, mięso i inne wiktuały wynosi i kanonierom wydaje“.

Z pod Złotoryi cofnęła się baterya na rozkaz głównego sztabu przed nadchodzącym z główną armią Dybiczem. Do tego łączy się ciekawe wspomnienie. Gdy maszerowali ku granicy i Złotoryi, napotkali „o słabą milę od tego miejsca okazały dwór obywatelski. Wyszedł naprzeciw nas gospodarz obywatel bardzo elegancko ubrany, mając u fraka przypięte wstążki krzyża wojskowego i legii honorowej francuzkiej, co oznaczało, że służył kiedyś w wojsku xięstwa Warszawskiego. Zaprosił nas do siebie, przyjął bardzo grzecznie. Zastaliśmy śniadanie wyborne już zastawione—i doskonałe wina i likwory. Wyszła też do nas i młoda gospodyni domu bardzo ładnie po francuzku mówiąca. Jenerał Starzyński i inni jenerałowie z dywizyi, sztab i kto tylko z nas przyszedł bardzo gościnnie byli przyjęci. Jednakowo to mnie uderzyło, że pan gospodarz i gospodyni często nam powtarzali: „tam gdzie panowie idziecie same laury was czekają, bo te poczciwe gwardye moskiewskie nie chcą z wami walczyć — czekają jedynie na wasze przyjęcie, by się z wami połączyć i wszystko wspólnie z wami nietylko w Polsce ale i w całem cesarstwie rosyjskiem na stopę liberalną przeistoczyć“. Ja stary Polak co w żadne liberalizny nie wierzę, tem mniej w liberalizmy oficerów moskiewskich, więc słuchałem tylko i nic nie odpowiadałem. Otoż kiedyśmy nazajutrz bardzo rano z pod Złotoryi napowrót ruszyli, nie jadłem śniadania obiecując sobie, że zajadę znowu do tak miłego obywatelstwa. Maszerując wprost zajeżdżam przed dwór, lecz wszystko, nawet główne wrota pozamykane zastaję. Wychodzi stróż, proszę o szklankę wody, ale i tej mi odmawia. Odjeżdżam życząc

szczęścia całemu domowi i puszczam się przez wieś; tu chłopi do nas wybiegają i mówią: „a prawda panowie, że napowrót nikt wam ani łyżki wody we dworze nie dał. A niech tylko panowie trochę się oddalą, to tu jak kruków oficerów moskiewskich się nazjeżdża, a jakie tam będą biesiady“. Widać że obywatel umiał sobie na miłość poddanych zasłużyć“.

Wśród podobnych wspomnień toczy się mile gawędka starego oficera. Lecz im bliżej końca tem smutniejsze te wspomnienia, tem więcej wysileń i cudów waleczności, więcej honorów, ale i zawodów coraz więcej. Bem został komendantem artyleryi, autor jego szefem sztabu, Bem postąpił na jenerała, nasz autor komenderował bateryą, lecz inną. Opisuje on dalej wiele szczegółów niedotyczących wyłącznie swej bateryi lecz całej wojny o ile takowych ze swego stanowiska mógł dostrzedz. Po smutnem zajściu pod Ostrołęką, nastąpiło smutniejsze pod Wolą, w obronie Warszawy miał Jabłonowski ważny udział, który najlepiej oceniają słowa jenerała Bema, gdy mu kazał zająć Nowy Świat i ulicę królewską: „Panu powierzona jest tak ważna obrona, od niej zależy ratunek całego wojska....“

Lecz niedługo potem nadjechał jenerał Bem po raz drugi z oświadczeniem, że kapitulacya podpisana. Nie bez goryczy względem mieszkańców Warszawy, których o słabszy niż dawniej patryotyzm pomawia, zakończa autor swoje wspomnienia rzewną odezwą do niegdejszych towarzyszów broni.—

„Uwagi nad rozprawą pana L. Gąsiorowskiego“ wyjaśniające „historyę zaprowadzenia kanonikatu doktora medycyny przy wszystkich kościołach katedralnych polskich, w szczególności zaś zaprowadzenia tegoż kanonikatu przy katedrze gnieźnieńskiej i poznańskiej“ są właściwie polemiką przeciw tej rozprawie. Pan L. Gąsiorowski twierdzi „iż głównym do tego powodem nie była, jakby się to z pozoru sądząc zdawać mogło, troskliwość o zachowanie zdrowia duchowieństwa przy rzeczonych znaidującego się kościołach, ale raczej prawo krajowe, wykluczające nieszlachtę od wszelkich urzędów duchownych“. — Przegląd Poznański twierdzi zaś, że p. L. Gąsiorowski nie jest w możności dowieść „tego dla fundatorów kanonikatu doktora medycyny niekorzystnego i ubliżającego orzeczenia“. Przegląd Poznański stara się przeciwnie dowieść ,że szczególnie w Gnieźnie, nie inne było przeznaczenie kanonika doktora medycyny jak pełnienie lekarskich obowiązków, oraz że i na tę posadę obierano szlachtę, a w niedostatku szlachty plebejuszów.

Pod rubryką Piśmiennictwo znajdujemy rozbiór a raczej podanie treści „Niedokończonego poematu“ Zyg. Krasińskiego, o którym najpierwej nasze pismo sprawę zdało. Uznaje Przegląd Poznański znakomitą wartość tego dzieła, twierdzi tylko że dzieło to jest chybione pod względem religijnym gdyż wystawiając Albigenzów, Templaryuszów, Bożokrzyżowców i t. d. „nieprzerwany ciąg tajemniczych związków, sprzysiężeń, kacerstw, buntów, które zawsze nurtowały porządek społeczny, daje im zaraz na wstępie za godło, tłumaczące ich istotę, to założenie, że każda myśl poczęta w Bogu, jako córka Boża, to samo przecierpieć musi co Bóg-Syn“. Wyrzuca mu że „Chór daleki“ ten reprezentant czuwającej nad dziejami Opatrzności Bożej „o tyle tylko te knowania potępia, że żądały zawcześnie, że westchnienia ich były zawczesne. Cała zaś groza wylewa się tylko na królów i papieża, na Rzym, który połączył się z przemocą okrutnych i świeckich i gnębi po świecku, na kościół, który w opokę stwardniał i ducha z siebie postradał“.

Te myśli, jako niekatolickie, poczytuje Przegląd Poznański za główną chybę poematu i dla tego, twierdzi, dobrze uczynił autor że sam skazał na zapomnienie pracę choćby pod każdym innym względem najnadobniejszą.

Kilka innych rozbiorów i sprawozdań literackich (między temi o Czytelni dla młodzieży i pamiętnikach hrabiego Broel-Platera) pomijamy.

Pod rubryką „Sprawy publiczne“ odznaczają się sprawozdania bardzo dokładne i z zamiłowaniem ojczystych rzeczy traktowane: „O gimnazyach W. ks. Poznańskiego z lat 1857, 1858, 1859 i o szkole realnej miejskiej w Poznaniu“. Z tych dowiadujemy się, że niestety język niemiecki w wykładach i programatach góruje obecnie znowu nad polskim w tamtejszych szkołach. Wiadomość o „walnem zebraniu Towarzystwa naukowej pomocy w Poznaniu“, przedstawia nieznany u nas przykład bardzo gorliwych starań tamtejszego obywatelstwa około wspierania i promocyi uczącej się młodzieży polskiej. Niemniej żywo nas obchodzi wiadomość o „szkole polskiej na Batignolles w Paryżu“, gdzie znowu rząd francuzki daje świetny przykład popierania narodowej polskiej oświaty. Niemożemy sobie odmówić powtórzenia kilku słów z mowy Bohdana Zaleskiego, którą miał, jako członek rady szkolnej, po rozdaniu nagród do uczniów. Wynurzywszy radość przytomnych z postępów młodzieży, zwraca on uwagę na opiekę rządu francuzkiego i tak mówi: „A zkąd i dlaczego ta opieka rządu francuzkiego, ta czułość dalekich dobrodziejów, to wytrwałe poświęcenie się rady szkolnej i nauczycieli? Oto dlatego, że w szkole są dzieci polskie, dzieci narodu wielkiego acz uciemiężonego, nieśmiertelnego, acz złożonego w grobie! Miano to dzieci polskich obowiązuje uczniów szkoły na żywot cały. Bez względu na to, że się urodziły na ziemi francuzkiej i z matek po większej części francuzkich, muszą się nauczyć po polsku, muszą spolszczeć, przemienić się w duchu. I czyż wielkich już na tej drodze do Polski nie uczynili postępów?.... Z tem wszystkiem, stoją dopiero w przysionku narodowego kościoła, aby mogli wnijść do wnętrza i aż do samego przybytku tej świątnicy, do tego potrzeba jeszcze serdecznego zamiłowania w rzeczach polskich, chętnego poświęcenia chwil wolnych na czytanie i rozmawianie po polsku, jednem słowem, potrzeba zapału.

O składce na oddanie czci pośmiertnej Kar. Sienkiewiczowi, podamy wiadomość w przyszłym numerze naszego pisma.

Jak niedawno Dodatek do Czasu, tak i Przegląd poznański poświęca Kraszewskiemu i Gazecie Codziennej osobny artykuł. Godnie postąpił sobie w tej mierze Przegl. pozn. iż „pomimo listów naglących by się oświadczył przeciw Kraszew-

skiemu, a mianowicie jego kierownictwu Gazety Codziennej, pomimo że Kraszewski wystąpił przed trzema laty przeciw Przegl. pozn., tenże występuje w obronie Kraszewskiego. Oceniając należycie jego talenta, zasługi, zalety patryotyczne i moralne, nieprzepuszczając wreszcie i błędom które w nim upatruje, wykazuje Przegl. pozn. jakim sposobem „popularność Kraszewskiego urosła w krótkim czasie do nieznanych dotąd, a przynajmniej od czasu Mickiewicza niewidzianych rozmiarów. I była chwila, że się zdało iż obejmie niezachwialną dyktaturę nad ruchem umysłowym polskim. Lubo wtedy właśnie (pisze Przegl. pozn.) oświadczył się był przeciw pismu naszemu... radowaliśmy się szczerze z zaprowadzenia i uznania u nas pewnego naczelnictwa. Ale ta chwila jak błysk minęła. Kraszewski doznał tego na sobie, czego przed nim bardzo wielu i najznakomitszych ludzi doświadczyło, to jest, że jak popularność często niespodzianie przychodzi, tak znowu niepopularność spada właśnie wtedy, gdy najmniej zasłużona.“ Zastanawia się dalej nad powodami tego i wnosi że może „za nadto szorstko gromił błędy i niedostatki swych wołyńskich współobywateli.“ Przyznaje mu Przegl. pozn. słuszność, mianowicie w kwestyi włościańskiej i ubolewa jakto „źle, jeżeli tyloletnie zasługi, wyższość tak skwapliwie i powszechnie uznaną, rozmiata w pył lada powiew niechęci lub osobistej urazy“.

Uznając krzyki podnoszone przeciw Kraszewskiemu za nieuzasadnione, dziwi się Przegl. pozn. zkąd mogło powstać dziecinne oskarzenie, że Kraszewski połączył się z żydami przeciwko szlachcie. Nie wie Przegl. pozn. że to są często u nas praktykowane intrygi współzawodników w dziennikarstwie, uniewinnia go, wcale niepotrzebnie, że nie sam podjął się wydawnictwa Gazety tylko połączył się z Krononbergiem, który nie jest żydem. „Ryzyko, pisze Przgl. pozn., zapewne było za wielkie i nikt takiej ofiary wymagać od pana Kraszewskiego nie miał prawa. Nikt a najmniej ci, którzy i z położenia i z majątku powinni byli uprzedzić p. Kronenberga. Kiedy się dali innym wyścignąć, niechże teraz posądzaniem o jakieś urojone sprzysiężenia i niecne zamysły, nie osłaniają własnego niedbalstwa czy też niezdolności do zbiorowych przedsięwzięć, i nie umniejszają zasługi tam, gdzie ona najsprawiedliwiej się należy. Nie pierwszy też to przykład opieszałości w podobnej posłudze krajowi. A Biblioteka Warszawska, która byłaby dawno upadła gdyby nie pieniądze bankierskie? A Kronika? Pismo to, utrzymywane wielkim kosztem dwa lata przez jednego z obywateli, redagowane jeźli nie lepiej to nie gorzej od innych gazet, zmarniało przecież głównie brakiem wsparcia ze strony tych, których miało prawo uważać za naturalnych sprzymierzeńców, zwolenników i opiekunów“.

„P. Kraszewski jednak z godną pochwały stałością silnie dotąd zatrzymuje się na swojem stanowisku. Do prawych, bezstronnych, nie prywatę ale dobro ojczyzny mających na celu obywateli, należy podpierać go w tem co dobrego czyni, oraz dodawać mu odwagi i otuchy. Nie na zbytek, ale na brak ludzi ciągle zewsząd powstają narzekania. Pocóż więc bawić się w ostracyzmy?“ Nie mamy co dodać do tych słów Przegl. pozn. chyba to, że w ostracyzmy bawią się prawie zawsze ludzie którzy sami na ostracyzm zasługują.

Po obszernem sprawozdaniu z czynności wydawnictwa dzieł Długosza (głoszonem już w innych pismach polskich) następuje kronika zdarzeń w świecie katolickim zawierająca mianowanie wielu arcybiskupów i biskupów przez Papieża na konsystorzu odbytem d. 23 marca b. r., klątwę papiezką większą, „wiadomości o Ojcu św. i t. d. same wiadomości z Rzymu i o Rzymie. Między temi jest ważna o uroczystości co roku odbywającej się w kościele kolegium *de Propaganda Fide* zwanej Akademią języków, na której alumnowie lub xięża różnych narodów kolejno w swoich ojczystych mowach deklamują wiersze, lub przemawiają prozą na cześć Trzech królów. Uroczystość odbyła się 15 Stycznia 1860. „Między azyatyckiemi językami, pisze sprawozdawca, bardzo pocieszne są w swoich dźwiękach języki chiński, (którym przecież mówi 100 milionowa ludność) bengalski i indostański (podobnież wielkiej ludności mowy), a nad inne najbardziej język Nowej Zelandyi tak dziwny, że nie widząc osoby zdawałoby się że to głos nieludzki. Wszystkich razem języków było do 40. X. Franciszek Malczyński przemówił po starosławiańsku i po polsku. Wiersz polski z kilkunastu wrotek złożony zaczyna się:

Śród mnogich ludów, gdzie światło twej wiary
Rzuciło łaski ożywczej promienie;
Śród szczęsnych, Polska Twej miłości dary,
Polska o Panie posiadła zbawienie.

ostatnie wrotki zaś brzmią jak następuje:

Polsko, nie znikły twojej chwały wieści,
Choć znikły orły, co kryły sztandary,
Wieki roznoszą jak echem boleści,
Czyny poświęceń, twych synów ofiary!
— — — — — — — — — — — —
Polsko, tyś córką prawego kościoła!
W rany więc Zbawcy złóż twoje boleści,
Ukój twą żałość, która sercu cięży,
Bo w wierze prawej nadzieja się mieści.
Serca z ufnością przemoc nie zwycięży!

Wiadomości z archidyecezyi Gnieznieńskiej, Poznańskiej, dalej pod n. kościół polski pod rządem rossyjskim, kościoł polski pod rządem austryackim, są zbiorem doniesień, korespondencyi, aktów urzędowych odnoszących się do spraw kościelnych w całej Polsce. Bądź co bądź tę wielką zasługę ma Przegl. pozn. że jest może jedynem pismem polskiem które, chociaż tylko w kościelnych sprawach, koncentruje w sobie wszelkie promienie życia narodowego, zewsząd gdziekolwiek takowe się pojawi, ze wszystkich zakątów Polski, z emigracyi, nareszcie i z obczyzny zbiera wszystko co się do Polski odnosi. Tak zamieszcza Przegl. pozn. wzmiankę o Polsce O. Felixa w postnem kazaniu mianem w kościele Notre Dame w Paryżu. „Ach jeźli trzeba głośnych przykładów na dowód niezrównanej siły jaką Chrystus obdarza ludzkość, kiedy się pod jego natchnieniem zawiązują rodziny, także na danie świadectwa uroczystego potędze patryotyzmu, patryotyzmu nie do wykorzenienia i jakoby nieśmiertelnego, rozwijającego się w pokoleniach skutkiem wzrostu chrześciańskich pojęć w rodzinach chrześciańskich, toć mamy przed sobą dwa narody dostojne chrześciańskiemi uczuciami i patryotyzmem, co oparły się razem, jedno na drugiem wspierając, potrójnej próbie męczeństwa, wygnania i czasu; mamy

Irlandyę i Polskę. Irlandyę i Polskę, w których gwałt innych wyznań nie zdołał zadławić opornego katolickiego ducha".

Ostatnia rubryka Przegl. pozn. nosi tytuł Polemika. Dziwna widzieć w pismie, tak ściśle religijnem, stałą rubrykę poświeconą sporom dziennikarskim.

Rocznice historyczne.

1 i 2 czerwca 1652 r. Klęska pod Batowem.

Nieszczęsne dla Polski wypadki czterech lat poprzednich, wzmogły nieskończenie hardość wyniosłego Chmielniczeńka. Prosty kozak niedawno, teraz niejednokrotny pogromca Lachów i hetman kilkokrociowej bandy zaporozkiej, zapragnął uświetnienia rodu swego koligacyą z udzielnym domem książęcym. W tym celu zażądał od hospodara Multan córki dla swego syna Tymoszka, licząc zaś na niezbyt ochocze przyjęcie, wybrał się na wiosnę 1652 r. w ślubną drogę z ogromnem wojskiem kozacko-tatarskiem. Przestraszony hospodar słał do Polski rozpaczliwą prośbę o ratunek — a wspaniałomyślni zawsze obrońcy wszelkiej uciśnionej niewinności, przyjęli dobrem sercem wezwanie. Przebywający wówczas na Ukrainie hetman koronny, Marcin Kalinowski, zebrawszy około 20.000 wojska zabieżał swadziebnemu pochodowi drogę u Batowa. W krótce nadciągnęła orda krymska, za nią niezliczone tłumy krwi lackiej chciwego kozactwa. A na bujnem błoniu Ukrainy, umajonem wiosenną szatą przyrody, odegrała garstka rycerzy polskich jednę z najkrwawszych tragedyi w dziejach ojczyzny naszej, przyczyniła jedną z największych mogił, ofiarnych pomników narodu naszego.

W pięknym dniu sobotnim 1 czerwca przybiegło kilkanaście tysięcy Tatarstwa pod obóz, wyzywając podług zwyczaju Polaków w pole. Ochotnie skoczyło rycerstwo do harców i wojując fortunnie pogan, spędziło ich ku wieczorowi z pola. Zmrokiem już powracały hufce do obozu, gdy przez zastępy Tatarskie przerzynały się posiłki polskie pod wodzą Odrzywolskiego, kasztelana czerniechowskiego, Marka Sobieskiego, starosty krasnystawskiego i kilku innych walecznych rotmistrzów. Przybycie ich do obozu i fortunność dnia upłynionego dodały wielce serca rycerstwu. Lecz tę radość chwilową zmąciło dnia następnego zbliżenie się niezliczonych hufców wrogich, pod przewództwem syna Bohdana Chmielnickiego, Tymoszka. Widok tylekroć liczniejszego nieprzyjaciela sprawił przy nieszczęśliwem położeniu Polaków popłoch między żołnierstwem. Hetman bowiem, spodziewając się nadejścia liczniejszych posiłków, rozkazał synowi swemu Samuelowi oboźnemu koronnemu w szerszych rozmiarach założyć obóz. „Tak"— opowiada w liście świadek naoczny — „stał w czele tylko jeden rząd jakoby miesiącem, a w tyle żadnej obrony nie było". Stanął więc na tym czele sam hetman ze synem, Sobieski, Przyjemski, Odrzywolski i inni. Część mała pozostała w tyle obozu. Z wielką potęgą uderzyli Tatarzy na przód obozu, a podczas mężnego oporu Polaków, okrążyli kozacy tył. Przełamawszy nieliczne siły wdarli się w środek obozu, zapalili składy siana i słomy, wzniecając tym sposobem niezmierne zamieszanie w szeregach polskich. — Drugie relacye podają nam rzecz ową cokolwiek odmiennie. Widokiem nieprzyjaciół przestraszone żołnierstwo miało w cale smutny sposób okazać niezadowolenie swoje wodzowi, i wypowiedzieć dalsze posłuszeństwo. Zgryziony hetman kazał niemieckiej piechocie dla postrachu dać z tyłu ognia. Wystrzały te jednak zrozumiało żołnierstwo jakby od wdzierającego się w okopy nieprzyjaciela pochodzące, a mniemając się zgubionem poszło w rozsypkę. — W każdy zaś sposób bitwa dwoma tylko godzinami przed zachodem słońca rozpoczęta, zakończyła się wkrótce zupełnem zniesieniem obozu polskiego. Pojedyncze garstki torowały sobie drogę krwawym przebojem, drogo opłacając wolność i życie. Hetman Kalinowski przebił się szczęśliwie przez chmurę Tatarstwa, gdy mu dano znać, że syn jego ukochany w niebezpieczeństwie. Natychmiast zawrócił się biedny starzec z pomocą: lecz przeważna siła nieprzyjaciół zgubiła obydwóch. A nazajutrz obnoszono na wysokiej spisie siwą głowę hetmańską, zapłaconą dukatem przez Chmielnickiego, po obozie uradowanych wrogów. Z 20.000 rycerstwa zdołało ledwo kilku uciec, ledwo kilku zachować się od zguby. Bo nazajutrz uświęcono zwycięztwo barbarzyńskiem prawdziwie obchodem. Wszyscy jeńcowie najokrutniej zostali pomordowani.

Powodem do tak srogiego obejścia się, była według jednych obawa Kozaków, iżby za okupem uwolnieni panowie nie zechcieli później pomścić klęski dzisiejszej. Potargowawszy się więc z Tatarami dostali od nich za wypłaceniem pewnej sumy — na 30000 cz. zł. zwykle podawanej — uprawnienie pozbycia się na zawsze niecierpianych Lachów, i zabawiali się przez parę dni następnych najwymyślniejszem okrucieństwem nad nimi. Według innych chciał han krymski ukarać niesforność swych Tatarów odjęciem bogatego okupu i wydał nieszczęśliwych jeńców na pastwę morderczemu toporowi.

Tak więc zginął śmiercią męczeńską najpiękniejszy kwiat młodzieży polskiej. Prócz hetmana i syna jego dali gardło waleczny generał artyleryi i pisarz polny Przyjemski, starszy brat późniejszego króla Jana III Marek Sobieski, starosta krasnystawski „wspaniały kawaler w wojennych akcyach wypolerowany", Odrzywolski. Rek, Rosakowski i wielu innych. Przeszło pięć tysięcy rycerstwa polskiego poniosło wtedy śmierć, wyjąwszy kilku — dziesięć ledwo głów — który przebrani od litościwych pogan, za kobiety lub Tatarów ocaleli. A ileż łez i boleści uie wzbudziła wieść o klęsce owej po całej Polsce! Prócz trwogi o przyszłość, prócz ciężkiej żałoby za tylu bohaterskich mężów i synów, zawładła jeszcze insza boleść — niepewności. Brak dokładnej relacyi o całej bitwie sprawiał, iż każda pogłoska puszczona o jeńcach batowskich znajdowała łatwo wiarę. I szlachetność polska nie przypuszczająca podobieństwa takiego okrucieństwa, chwytała łakomie każdą wieść o życiu i zachowaniu jeńców. A srodze później zawiedzione nadzieje padło okupić nowemi a gorzkszemi łzami, nowym szeregiem boleści—aż nazbyt częstych ofiar narodu naszego.

B. K.

* Dzienniki warszawskie donosiły nam wiele o nowej znakomitej naszej spiewaczce p. Helenie Zawiszance. Występywała ona tam z nadzwyczajnem powodzeniem, a kto zna wybredną w tej mierze Warszawę, ten nie może lekceważyć tych laurów, którremi ta starsza siostra nasza ozdabia występujące talenta. Otóż z wielką ciekawością pospieszyliśmy w zeszły Piątek do teatru polskiego, w którym p. Helena Zawiszanka dała się poznać Lwowianom. I zaprawdę, czarująca siła jej głosu i żywe uczucie, z jakiem odspiewała kilka aryi — mianowicie owe delikatne odcienia w kompozycyi Troschla „Ona się śmiała" sprawiły nadzwyczajne wrażenie i wywołały powszechne oklaski. Już w tych kilku aryach okazała się p. Helena Zawiszanka artystką znakomitą — mówimy artystką, bo do spiewu łączy ona i talent gry, który dzisiaj tak rzadko idzie w parze ze spiewem. Dotkliwie daje nam się czuć w takim razie brak opery polskiej u nas. Kostium i akcya okazałyby nam talent p. Zawiszanki w całej świetności.

Z tym numerem kończy się pierwszy kwartał naszego Pisma. Ci z abonentów naszych, którzy na trzy miesiące prenumerowali, raczą wcześnie nadesłać prenumeratę. Abonenci „Kółka rodzinnego" mogą za dołączeniem do prenumeraty 1 złr. 50 kr. w. a. otrzymać powieść „NA KRESACH" oprawioną w broszurę.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z drukarni E. Winiarza.